

RYSZARD BUGAJSKI

PRZESŁUCHANIE

SCENARIUSZ FILMOWY

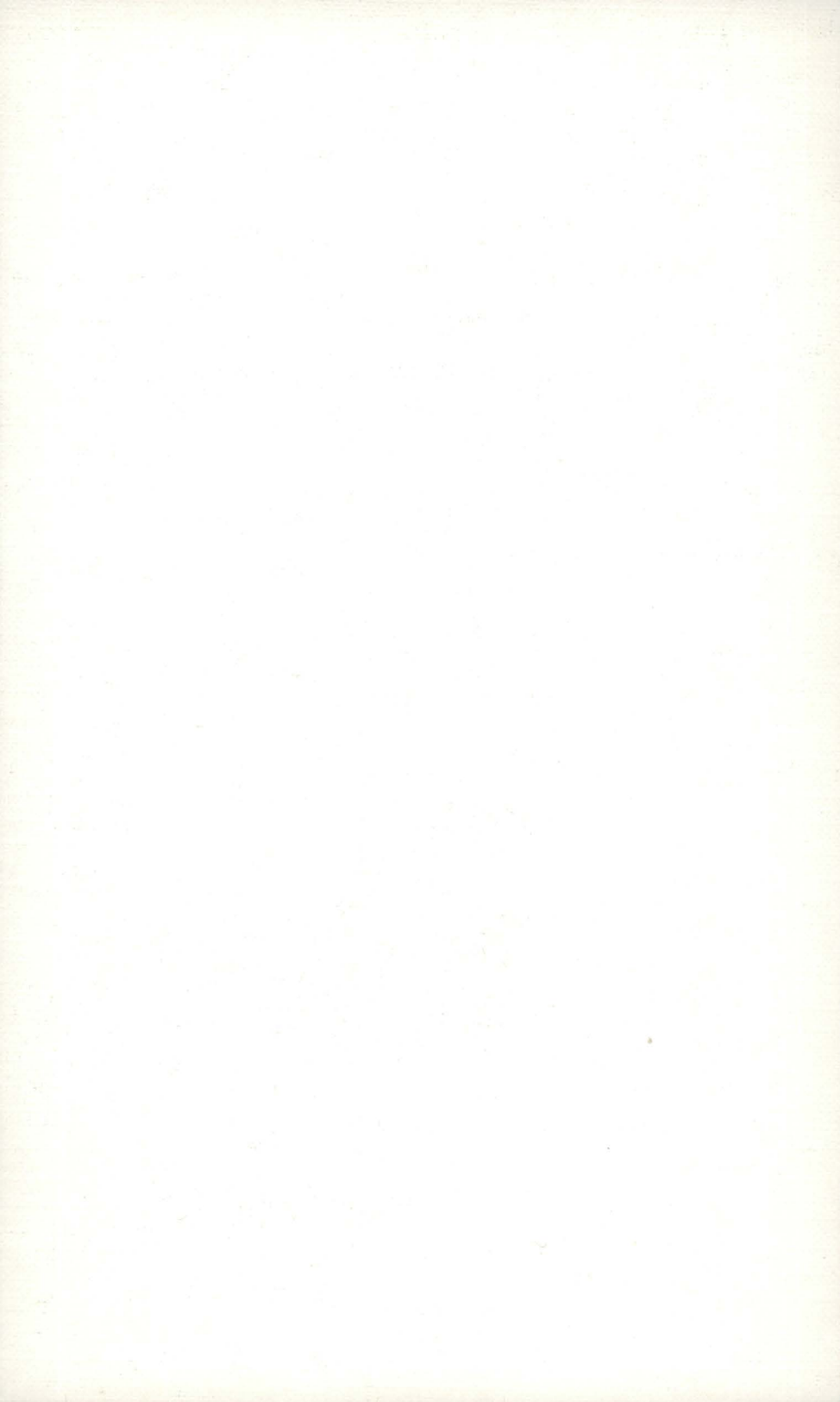
INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1983



PRZESŁUCHANIE

WYDZIAŁ KULTURY

WYDZIAŁ KULTURY

WYDZIAŁ KULTURY
WYDZIAŁ KULTURY
WYDZIAŁ KULTURY

BIBLIOTEKA « KULTURY »
TOM 385

ISBN 2-7168-0041-3

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

RYSZARD BUGAJSKI

PRZESŁUCHANIE

SCENARIUSZ FILMOWY

Pomysł powstał przy udziale
Janusza Dymka

INSTYTUT

PARYZ



LITERACKI

1983

Po raz pierwszy skrócony tekst „Przesłuchania” został opublikowany we wrześniowym (9) numerze miesięcznika *Dialog* w 1981 roku.

Na podstawie tego scenariusza został zrealizowany pełnometrażowy film fabularny w Zespole Filmowym „X”. (W wersji filmowej część współczesna została usunięta).

Film reżyserował Ryszard Bugajski
zdjęcia — Jacek Petrycki
scenografia — Janusz Sosnowski
produkcja — Tadeusz Drewno.

O b s a d a :

Tonia — Krystyna Janda
Kostek — Olgierd Łukaszewicz
Morawski — Adam Ferency
Kąpielowy — Janusz Gajos
Mira — Anna Romantowska
Witkowska — Agnieszka Holland
Chłopka — Bożena Dykiel.

Zdjęcia do filmu rozpoczęto we wrześniu 1981, ukończono w grudniu 1981. Kolaudacja odbyła się w Ministerstwie Kultury i Sztuki w kwietniu 1982. Wynikiem jej jest absolutny zakaz rozpowszechniania filmu. (Pełny tekst dyskusji opublikował 2/3 nr *Wezwania*).

PRZEDMOWA

Ze wszystkich dziedzin twórczości film jest najbardziej zależny od koniunktury, bez względu na to, czy mechanizmy rynku czy rachuby państwowych mocodawców grają rolę główną. Nigdzie autorstwo filmu nie daje prawnego tytułu do własności dzieła. Prawnym właścicielem staje się ten, kto daje pieniądze: w krajach wolnego rynku — przedsiębiorstwa produkcyjne; w krajach „realnego socjalizmu” — państwo.

Stwarza to osobiwą dwuznaczność w stosunkach pomiędzy twórcami a „właścicielami” filmu. Są sobie niezbędni, ale działają z pobudek nieraz antagonistycznie różnych. Z obu stron naturalnym staje się dążenie do wykiwania tych drugich. I czym większe są ambicje osobiste twórcy, tym szerszy teren obustronnej manipulacji. Toteż talent i umiejętności zawodowe nie zapewniają sukcesów w filmie, szczególnie fabularnym, wymagającym najwyższych wkładów finansowych. Potrzebny jest także spryt i żyłka oportunistu, zdolność i zamiłowanie do prowadzenia gry z przeciwnikiem — mecenasem, szybkość orientacji i reagowania w zmieniającym się społecznym i politycznym klimacie.

Nic dziwnego, że w Polsce powojennej wzloty i upadki kina związane są ściśle z politycznymi kolejami kraju. Pierwszy rozkwit sztuki filmowej przypada na lata „odwilży” i „Października”. Wtedy też powstała struktura kinematografii, która w ogólnych zarysach przetrwała do dziś. Jej częścią jest podział produkcji fabularnej na „zespoły autorów filmowych”, które dają twórcom pewne pole do własnej inicjatywy. W pierwotnych intencjach zespoły miały się stać autentycznymi spółdzielniami artystów, i dążenie to wraca w każdym momencie politycznych zmian, ale państwo nie zrezygnowało nigdy z zakresu kontroli wystarczającego do realizowania założeń własnej polityki kulturalnej. Sytuacja zdeterminowała reguły gry, zrozumiałe dla obu stron.

Widzowie — odbiorcy filmów — wcale nie są w tej grze decydującym arbitrem. Powołują się na nich głównie twórcy, ale powołanie dzieła bywa także przedmiotem manipulacji. Od władz zależy decyzja, czy i kiedy film wejdzie na ekrany i jak szeroko będzie rozprowadzany. I w chwili kierowania scenariusza do produkcji i później, kiedy gotowe dzieło czeka na ekrany, względy polityczne ważniejsze są od kasowych. Bo wiadomo, że na gustach polskich widzów władza polegać nie może. Wśród obowiązujących tematów, takich jak oficjalny rodowód rządzącej partii i wrodzona nikczemność jej przeciwników, praktycznie żaden nie może liczyć na szeroką publiczność i na zainteresowanie ambitnego twórcy.

Scenariusze potencjalnie kasowych filmów są często odrzucone, a do realizacji idą projekty, o których wiadomo, że będą deficytowe i artystycznie mierne. Ta sytuacja rodzi proces naturalnej selekcji. Filmowcy pozbawieni talentu, a nawet niezdolni do nabycia zwykłej sprawności warsztatowej są do dyspozycji władz, bo to jedyny sposób utrzymania się w zawodzie. W kinematografii oparciem dla partii są miernoty, brakiem talentu rozjątrzone na tych, którzy go mają. Ci drudzy, niesforni, bo ambitni i zdolni, są jednak potrzebni po to, by cały proces produkcji uwiarygodnić.

W tej grze kota z myszą, mysz wygrywa niektóre potyczki, zalicza punkty, lecz partyjny kot nie traci świadomości, że decydujące atuty należą do niego. Bo nawet kiedy powstają udane filmy, dobrze przyjęte przez krajową publiczność i nadające się na eksport, a w swej treści dla władzy niezbyt pochlebne, partia zarabia pieniądze, zbiera procenty za liberalną politykę i ma okazję sprawdzenia, co nurtuje ludzi, jakie są prawdziwe zamówienia społeczne. Czasem też kontrowersyjne dzieło odgrywa rolę bardziej dosłownie polityczną, ściągając na siebie złość jakiejś partyjnej frakcji, polaryzując stanowiska, prowokując żądania „przykręcenia śruby”.

Nowy rozkwit polskiego kina przypada na lata rządów ekipy Gierka. Zbiegło się wtedy szereg czynników, tworząc klimat sprzyjający twórczości filmowej. Polityka kulturalna władz, na ogół defensywna i mało konsekwentna, pozostawiła szczeliny, enklawy swobód, do wyzyskania przez przedsiębiorczych twórców. Charakter publiczności kinowej zmieniło pokolenie urodzone już i wyrosłe w Polsce Ludowej, zachłannie ciekawe świata, w swej większości otwarcie niechętnie władzy, wrażliwe na obłudę i nie cierpiące twórczości oficjalnej, niespokojne i niepokorne. Było to pokolenie młodych aktywistów KOR-u i innych grup opozycji demokratycznej, której istnienie okazało się na swój sposób też ważne dla rozwoju kinematografii. Prasa i wydawnictwa nieoficjalne, wychodzące poza cenzurą, stworzyły nowy kontekst dla twórczości kontrolowanej. Cenzura jest efektywna tylko, jeżeli obejmuje całokształt życia społecznego. W sytuacji

kiedy monopol państwa został naruszony, kiedy istnieją pół podziemne ale jawnie proklamowane wysepki pełnej swobody, cenzorzy stają się bezradni. Wprawdzie kino z natury rzeczy nie może istnieć poza cenzurą, dla filmowców luksus pełnej swobody nie jest dostępny za żadną cenę, ale kiedy krążą po Kraju teksty o Katyniu, władzy trudno się gorszyć, że z ekranu aktorzy mówią prawdziwym językiem, w obrazach ludzie widzą znaną sobie Polskę, rozpoznają własne tęsknoty do innego, odkłamanego życia.

W tym samym czasie kinematografię zasiłiła grupa zdolnych i ambitnych debiutantów. Znaleźli oni oparcie i pomoc kilku reżyserów średniego pokolenia, takich jak Andrzej Wajda, Krzysztof Zanussi, Kazimierz Kutz, Edward Żebrowski. Środowisko filmowców konsolidowało się w nieznanym przedtem stopniu. Zapanowały w nim obyczaje demokratyczne. Na walnym zebraniu Stowarzyszenia Filmowców kierownictwo przeszło w ręce twórców bezpartyjnych, obdarzonych osobistym autorytetem. Prezesem został Andrzej Wajda, zastępcami Krzysztof Zanussi i Krzysztof Kieślowski, do władz weszło paru twórców młodych. Stowarzyszenie stało się autentyczną reprezentacją zawodową środowiska, zdolną do występowania wobec władz w obronie interesów swoich członków.

Na podkreślenie zasługuje osobista rola Andrzeja Wajdy w odrodzeniu polskiego filmu. Ten najśawniejszy z polskich, a nawet wschodnioeuropejskich reżyserów filmowych swego pokolenia wszedł w osobliwie intymny związek z grupą młodych filmowców. Stał się ich protektorem i ostoją, a jednocześnie uczył się ich widzenia Polski i ich podejścia do filmowego rzemiosła. Kolejny rozkwit twórczości Wajdy wiele zawdzięcza tym kontaktom. „Człowiek z marmuru”, film o potrzebie odkłamania niedawnej polskiej przeszłości — przedziwna mieszanka fikcji i reportażu, podrabianych i prawdziwych kronik — stał się prekursorskim i sztandarowym dziełem nowego kina. Zdolni młodzi twórcy, jak Agnieszka Holland, Feliks Falk, Janusz Kijowski, Ryszard Bugajski, znaleźli miejsce i szanse startu w prowadzonym przez Wajdę Zespole „X”.

Stosunkowo przychylna dla ambitnych twórców sytuacja zaowocowała w drugiej połowie lat siedemdziesiątych szeregiem filmów fabularnych o życiu w Polsce Ludowej, ochrzczonych przez krytyków „kinem niepokoju moralnego”. Były to filmy odkrywające rzeczywistość polską i zanurzone w niej, na ogół opisowe, bogate w realia. Rodziły się często z obserwacji, z inspiracji dokumentalnej, stanowiły „twórczą interpretację rzeczywistości”. Najczęściej traktowały o tym, jak sfera życia oficjalnego deformuje w Polsce życie osobiste. Jako obraz polskiej rzeczywistości filmy te wyprzedziły literaturę, i chociażby dlatego najbardziej przedtem typowe w kinie polskim adaptacje książek zastąpiły

scenariusze oryginalne. Okazało się, że niektórzy z młodych reżyserów — np. Holland, Falk, Bugajski — mają także talent pisarski, że potrafią swą wrażliwość na wygląd Polski i na dźwięk prawdziwej polskiej mowy przetworzyć sprawnie na struktury dramaturgiczne i na żywe dialogi.

Doroczny, wrześnieowy przegląd polskiej produkcji fabularnej w Gdańsku stał się w 1979 roku prawdziwym festiwalem nowego kina. Pokazano wtedy nowe filmy Holland („Aktorzy prowincjonalni”), Kieślowskiego („Amator”), Kijowskiego („Kung Fu”), Falka („Szansa”), Marczewskiego („Zmory”), Żebrowskiego („Szpital Przemienienia”) i kilka innych. Stało się jasne, że tak prężnego i tak jednorodnego w źródłach inspiracji ruchu polskie kino jeszcze nie widziało. Rozwinięty wtedy impet trwał do Porozumienia Gdańskiego 31 sierpnia 1980 roku i dalej, w miesiącach działania „Solidarności”. Najszybszym startem popisał się znowu Andrzej Wajda, realizując „Człowieka z żelaza” niemal nim wysechł atrament na podpisach Porozumienia Gdańskiego. Agnieszka Holland po „Gorące” (adaptacja „Dziejów jednego pocisku” Struga) zrobiła „Kobietę samotną”, Kieślowski — „Przypadek”, Marczewski — „Dreszcze”, Falk — „Był jazz”, Domaradzki — „Wielki bieg”, Zaorski — „Matkę Królów” według powieści Brandysa.

Do tej właśnie grupy filmów realizowanych w roku 1981 — roku maksymalnej swobody — należy „Przesłuchanie” Ryszarda Bugajskiego. Reżyser filmu i autor scenariusza w jednej osobie był nominalnie debiutantem. W poprzednim dorobku miał tylko pełnometrażowy film telewizyjny, ale w opinii środowiska zapowiadał się na duży talent. „Przesłuchanie” zrealizował w zespole „X”, pod opieką artystyczną Agnieszki Holland, która też zagrała w filmie rolę drugoplanową.

Debiut fabularny Bugajskiego był jednym z kilku wyprodukowanych w roku 1981 filmów, których akcja dzieje się w latach stalinizmu. Leżą teraz na półkach, obrastają kurzem. Póki nie wejdą na ekrany, by spotkać się z publicznością, umacniać będą legendę o zakazanych filmach. W opinii ludzi warszawskiego środowiska „Przesłuchanie” jest najbardziej z nich drastycznym i wstrząsającym obrazem tamtych czasów, chociaż patrzy na nie z punktu widzenia ofiary nieświadomej mechanizmów terroru, a nie z wyżyn wielkiej polityki. Tonia, bohaterka filmu, rozbawiona, amoralna, raczej pusta młoda aktorka estradowa, od polityki daleka, po beztrudnej nocnej eskapadzie budzi się w areszcie. Staje się przedmiotem upiornego dochodzenia, w którym jej życie osobiste, jej sprawy intymne traktowane są jako dowody jakiejś niezrozumiałej zbrodni. Tonia reaguje zrazu oburzeniem i zranioną dumą osoby niewinnie skrzywdzonej, po czym, kiedy do zmiążdżenia jej oporu w ruch idzie cały arsenał środków fizycznego i psychicznego terroru, przeciwstawia się złością tak w swojej sile, zdawałoby się, irracjonalną, że dorów-

nującą absurdowi oskarżenia. Aż wreszcie rodzi się w niej świadomość, że walczy o swoją tożsamość, o osobistą godność.

Ta przerażająca opowieść ma w sobie warstwę optymizmu. Jest nią wiara w moralną siłę „zwykłego człowieka”, zapewne czerpana z emocjonalnego klimatu „Solidarności”. Dla dużej części polskiej inteligencji twórczej postawa robotników w latach 1980-1981 była objawieniem i wielu zmusiła do rewizji własnych poglądów. Tonia w „Przesłuchaniu” wprawdzie nie jest robotnicą, ale w sytuacji krańcowej manifestuje, że obrona osobistej godności jest potrzebą wrodzoną, a nie abstrakcyjną konstrukcją wymyśloną przez intelektualistów.

Bugajski nakręcił „Przesłuchanie” w klimacie urzekającej swobody, ale stan wojenny nastał nim film skierowano do rozpowszechniania. Kolaudacja — przegląd gotowego filmu przez zespół „doradców” wiceministra kultury odpowiedzialnego za kinematografię, w jego obecności — odbywała się w chwili kiedy upiory przeszłości pokazywane na ekranie wróciły i rozsiadły się znowu w polskim życiu, a więzienia wypełniły się znowu niewinnymi ludźmi.

Kolaudacja odbyła się więc jako logiczny epilog filmowej opowieści. „Przesłuchanie” nie miało szans wejścia na ekrany. Dyskusja po projekcji w wypadku filmów politycznie „kontrowersyjnych” jest niezbędnym rytuałem, przygrywką do decyzji, które zapadają na wyższych szczeblach. Formalnie decyzja o losach filmu jest prerogatywą ministra. Niemniej warto przedstawić niektórych dyskutantów. Mieczysław Waśkowski, który na kolaudacji „protestuje przeciwko temu filmowi całym sobą” i żąda ustalenia, kto jest odpowiedzialny za jego skończenie, to aktualnie sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej przy „Zespołach Filmowych”, a w przeszłości reżyser miernych, niekasowych filmów. Czesław Petelski, według którego „Przesłuchanie” zrobione zostało „z jawnej nienawiści do tego, co się (w Polsce) dzieje dzisiaj i będzie działa jutro”, to poprzedni sekretarz w/w POP-u i reżyser niestrawnych kostiumowych chał, „Kazimierza Wielkiego” i „Kopernika”, które „dostatniej” Polsce Gierka dorabiać miały historyczny rodowód. Bohdan Poręba, który „Przesłuchanie” nazywa „bajeczką dla grzecznych dzieci”, to czołowy partyjny antysemita i faszysta, przewodniczący Stowarzyszenia Patriotycznego „Grunwald”. Po zrealizowaniu popularnego „Hubala” w 1973 roku Poręba stanął na czele faworyzowanego przez władze a znienawidzonego przez większą część środowiska zespołu „Profil”, który pochłaniał blisko jedną trzecią wszystkich funduszy przeznaczonych na produkcję fabularną, a dawał serię kosztownych artystycznych i kasowych niewypałów. Wśród nich były filmy samego Poręby, jak ogromna polsko-sowiecka kolubryna „Jarosław Dąbrowski” i „Polonia Restituta” — jego wizja przedwojennej Polski, robiona pod gust partii, ale nie polskich

widzów. Ci trzech partyjni reżyserowie włączeni zostali do komisji kołaudacyjnej prawdopodobnie jako przedstawiciele środowiska filmowców. Andrzej Werner, kierownik literacki jednego z zespołów, nie dopuszczony do głosu i wyrzucony z sali, był wykładowcą „Latającego Uniwersytetu” i pierwsze tygodnie stanu wojennego spędził w obozie internowania.

Nie wiadomo, czy i kiedy „Przesłuchanie” dotrze do swoich widzów. Należy się cieszyć, że na razie żyć będzie jako dzieło literackie, spłacając część długów, jakie film polski winien jest literaturze.

Bolesław SULIK

Ja, Antonina Dziwisz z domu Jabłonowska, urodziłam się 1 kwietnia 1926 roku we Lwowie z ojca Henryka, urzędnika składnicy opałowej i matki Jadwigi z domu Kuna, bez zawodu. Dziadek ze strony ojca, Jan Jabłonowski, był giserem (giser to taki hutnik-chałupnik), zaś ze strony matki, Michał Kuna, podobno był zubożałym ziemianinem, choć to nic pewnego. O swoich przodkach wiem mało, nie zachowały się żadne dokumenty, żadne zdjęcia, a i w domu, o ile pamiętam, jakoś niewiele się mówiło o tradycjach rodzinnych. Naukę pobierałam na pensji Teofili Zamieniewskiej we Lwowie, potem miałam rozpocząć pracę w handlu, jak ojciec i jak starszy brat. Przedmioty szkolne specjalnie mnie nie interesowały, za to nocami pochłaniałam stopy zakazanych powieści, paliłam papierosy i chodziłam do kina na wagary. Koniecznie chciałam zostać, jak dorosnę, wielką damą. Wyrzucono mnie w końcu z pensji i tylko dzięki jakimś upokarzającym prośbom mojej matki przyjęto z powrotem. Tuż przed wybuchem wojny ojciec wysłał mnie do Warszawy do szkoły z internatem i zlecił opiekę nade mną swym starym przyjacielom. Moje dwie młodsze siostry, brata, rodziców oraz stryja i stryjenkę z dziećmi wywieziono w głąb Azji i ślad po nich zaginął. Doszły mnie słuchy, że zmarli na tyfus w drodze do Indii. Ja przeżyłam, miałam szczęście... A przecież zostałam wysłana ze Lwowa za karę... Nawet się wtedy, pamiętam, tak bardzo nie przejęłam losem bliskich. Dojrzywałam, byłam zajęta sobą, swoimi rówieśnikami. Przyjaciele rodziców okazywali mi wiele współczucia, co mocno mnie drażniło — wołałam to wszystko przeżywać sama, po swojemu, bez tych teatralnych łez i wykrzykników. Zamiast posłać mnie na tajne komplety, gdzie uczęszczało wiele moich przyjaciółek z lepszych domów, kazali mi poszukać sobie pracy. Jedyne, co wtedy umiałam dobrze robić, to gwizdać na palcach. Zaczęłam pomagać u piekarza, który miał zakład w naszym podwórku. Nienawidziłam tej pracy, nienawidziłam swych opiekunów, nienawidziłam majstra, złośliwego i niesłuchanie wy-

magającego półgłówka. Za całonocną harówkę w kurzu i piekielnym żarze płacił marne grosze, nie szczędząc przy tym pokrzykiwań i morałów na temat mojego sposobu ubierania się, fryzury i malowanych paznokci. Nieraz życzyłam im wszystkim, żeby ich szlag trafił, żeby pierwszy lepszy pijany Szwab zrobił z nich krwawą miazgę.

Od dziecka nieźle śpiewałam, tańczyłam, miałam w ogóle dobry słuch, ale rodzice nie mieli pieniędzy, żeby uczyć mnie muzyki. Sama nauczyłam się trochę brzdąkać na fortepianie — skomponowałam nawet tango. Tuż przed końcem wojny znalazłam się w Pruszkowie pod Warszawą. Zupełnie przypadkowo, przez jakąś kobietę-oficera, trafiłam do zespołu artystycznego I Armii, dotarłam z nimi nawet do Berlina — potem wróciłam do Łodzi, z Łodzi przeniosłam się do Warszawy i zaczęłam występować w teatrzyku rewiiowym. Prowadziłam wesoły, królewski niemal tryb życia, miałam masę znajomych, którzy znacomiecie mi zastępowali rodzinę. Ten okres wspominam jako najlepszy, najbardziej beztroski w swoim życiu: ciąg rauszy i kaców, upijania się i trzeźwienia, szaleńczych eskapad. W dużej mierze była to tradycja okupacyjna: lepiej nie widzieć tej grozy naokoło, lepiej zginać po pijanemu — mniej wtedy człowiek cierpi. Ale nam wtedy nic przecież nie groziło — taki mieliśmy po prostu styl. Na zdjęciach z tego okresu widać roześmianą, pełną życia dziewczynę, szczerzącą białe, równe zęby, otoczoną kolegami, wojskowymi, przy stołach zastawionych wódką albo gdzieś na wyjeździe na prowincję pod transparentem „Kultura dla wsi”, przy odgruzowywaniu Warszawy, czy w objęciach aktualnej sympatii. Żyłam bardzo tymczasowo, ulotnie, gorączkowo, nie myśląc o jutrze. To, co nastąpiło potem, a nastąpiło jak grom z jasnego nieba, miało charakter nieuchronnej konieczności, fatum, logicznej równowagi dla mojej beztroski, choć był to przecież czysty przypadek. Nie chodzi tu oczywiście o wyrównywanie zasług czy win z dopustu bożego, o sprawiedliwość niebieską, bo po pierwsze w to nie wierzę, a po wtóre uważam, że nie zasłużyłam na taki los w żaden sposób; przeciwnie, byłam uczciwa i niewinna, jak tylko przeciętny człowiek może być uczciwy i niewinny. Ale im mniej ktoś zdaje sobie sprawę z tego, co się naokoło dzieje, tym boleśniejsze przeżywa rozczarowania, tym okrutniej rzeczywistość wkracza w jego nierealny świat.

Wydarzyło się to w grudniu 1951 roku, tuż przed świętami. Ale zanim opowiem tę historię, muszę wrócić do chwili, gdy poznałam Kostka. Kostek nosił śmieszne nazwisko Dziwisz i był poetą. Dość szybko zamieszkaliśmy razem w ogromnym po-

koju bez tynku, za to z fortepianem, mieszczącym się w zrujnowanym apartamencie na zapleczu ulicy Widok. Okna były z braku szyb pozabijane blachą i deskami, klepką poprzedni lokatorzy widocznie palili w piecach, zaś łazienka była składem węgla i starych rowerów. Oprócz nas gnieździło się tam jeszcze chyba z osiem czy dziesięć osób. Lokum wynalazła mi Dziunia, koleżanka z teatru, mieszkająca zresztą obok w służbówce. Kostek przed wojną chodził do szkoły prowadzonej przez księży, w czasie okupacji studiował tajnie teologię i handlował wapnem oraz kradzionym z pociągów węglem, po wyzwoleniu zaś zamierzał przyjąć święcenia kapłańskie, ale spotkał mnie. Choć nie był zbyt przystojny, bardzo działał na mnie jako mężczyzna. Ilekroć dotykał mojego ciała, nawet przez ubranie, czułam natychmiastowe podniecenie. Czy byliśmy wtedy w teatrze, w podróży, na ulicy, szybko wyszukiwaliśmy względnie cichy kąt, klatkę schodową, zamykaliśmy się w łazience mieszkania, gdzie byliśmy właśnie z wizytą i zwieraliśmy się z taką gorliwością, jakby od tego zależało uratowanie całego ginącego gatunku. Wieczory i noce wypełniały pieszczoty, pocałunki, okrzyki rozkoszy, zapewnienia miłości. Zasypiałam półżywa w jego ramionach i budziłam się już w połowie następnego razu. Całymi dniami nie wstawaliśmy z łóżka, żyliśmy jak w więzieniu. Tylko Dziunia wsuwała nam przez szparę w drzwiach mleko, bułki, jakąś wędlinę.

Mimo, że Kostek był trochę pieprznęty, potrafił pamiętać przez wiele miesięcy o jakimś moim kaprysie i w ten sposób na przykład stałam się posiadaczką ogromnego rudego kota, gdyż dopiero teraz, gdy już marzyłam o jamniku, poszukiwania przyniosły rezultat. Nazwaliśmy go „Jajo”, co wywoływało wręcz oburzenie naszych znajomych. Nie byłam właściwie osobą wierzącą, no powiedzmy, praktykującą i życie „na kocią łapę” mi nie przeszkadzało, lecz Kostek w sprawach małżeństwa miał bardzo tradycyjne poglądy. Nalegał na ślub i to ślub kościelny, gdyż jego zdaniem katolicka formuła o wierności aż do samej śmierci i postulat, by człowiek nie rozłączał tego, co Bóg połączył, bardziej odpowiadały naszej wielkiej i wyjątkowej miłości, niż nie zobowiązujące właściwie do niczego przyrzeczenie w urzędzie stanu cywilnego. Wesele było huczne, na sto osób. Z braku innego lokalu odbywało się w siedzibie teatru między dekoracjami do „Księżniczki czardasza” i wielkimi portretami przywódców kraju, używanymi z okazji różnych akademii. Menu składało się ze śledzi i ogromnej ilości bimbru, który pędził pod sceną nasz rekwizytor, Janek Garlicki. Wielki entuzjazm wywołało pojawienie się pułkownika Kazimierza Olchy na czele dwóch pikolaków z

„Polonii”, niosących kocioł gorących parówek i garnek musztardy. Pułkownik w teatrze był dobrze znaną postacią. Z ramienia Głównego Zarządu Politycznego Wojska Polskiego organizował występy artystów w klubach oficerskich, w jednostkach wojskowych, na poligonach. Czasem z czystej życzliwości udostępniał teatrowi autobus albo ciężarówkę do przewozu dekoracji, załatwiał przez swe szerokie znajomości sprawy „nie do załatwienia”. Był to młody jeszcze, przystojny i nie pozbawiony inteligencji śmirus i kpiarz. Na życzenie dam potrafił zjeść szklankę, a jeżeli był w szczególnie dobrym humorze — przegryźć na dodatek żyletką. Wśród artystów miał mir, gdyż na wydawanych przez niego „poczęstunkach” gołda łała się strumieniami, a od szynek, wiejskich kiełbas i salcesonów ugiwały się stoły. Mnie obdarzał szczególną sympatią. Kiedyś na moją cześć zjadł nawet lampę naftową (ma się rozumieć tylko części szklane).

Ale chciałam opowiedzieć, co zdarzyło się w grudniu 1951 roku. Teatry wtedy często jeździły na prowincję na różne występy w świetlicach wiejskich, remizach, opuszczonych dworach, pod gołym niebem. Oznaczało to nie tylko wypełnianie szczytnych celów propagandowo-oświatowych, ale także całe godziny tłuczenia się ciężarówką albo furmanką, czasem pieszo, po kocich łbach, wertepach, błocie i zimnie — nad głowami powiewały dumnie flagi i transparenty z hasłami w stylu: „Miasto bliżej wsi”, „Precz z podżegaczami wojennymi” albo „Kultura socjalistyczna dla mas pracujących” — potem zmęczonych pracą, śpiących na widowni albo nawet pijanych widzów... Obszczekiwały nas ciągle wiejskie kundle, stare baby pluły na nasz widok, zakrywały oczy dzieciom. Dworce, zimne poczekalnie, sapiące i cuchnące dymem ciuchcie, zapluskwione hoteliki... Ale nam humory dopisywały — byliśmy młodzi, pełni zapału, traktowaliśmy to jak wspaniałą romantyczną przygodę. Naprawdę wierzyliśmy, że niesiemy wysoko kaganek oświaty, że nasze pokolenie spełnia jakąś wielką dziejową misję, że jesteśmy pionierami nowych idei, nowego życia. Czasami udawało się nam zobaczyć uśmiechy lub łzy na twarzach widzów i to opłacało nam z namiżką wszelkie niewygody i przykrości. Z powodu trudności z transportem dekoracji jeździliśmy ze składankami: trochę operetki i starych piosenek w stylu „Qui pro quo” na rozgrzanie widowni, a potem pieśni masowe i ludowe, poezja rewolucyjna. Bardzo lubiłam recytować taki wiersz:

*Szeroka, szeroka jest ziemia,
gdy myślą ogarnąć ją lotną,*

*szeroko po ziemi więzienia,
głęboka w więzieniu samotność.*

*Już dziąsła przeżarte szkorbutem,
już nogi spuchnięte i martwe,
już koniec, już płuca wyplute —
lecz palą się oczy otwarte.*

Chyba robiłam to nieźle, bo prawie zawsze czułam wzruszenie słuchaczy, a oklaski były długie i głośne. I teraz już nie wiem, czy dlatego polubiłam ten wiersz, bo mnie zań gorąco oklaskiwano, czy dlatego mnie oklaskiwano, że lubiąc ten wiersz, wkładałam w jego recytację całe serce...

Tym razem zawieźli nas niedaleko, na Pragę, na ulicę Łochowską, do fabryki drutu i gwoździ. Przedstawialiśmy kabarecik satyryczny „Trumanillo”. Jak zwykle wszyscy sobie nieźle popili przed występem — trochę z zimna, trochę dla kurażu i fasonu. Tego dnia mieliśmy szczególnie wdzięczną i reagującą żywo widownię. Dowcipy sypały się nam jak z rękawa, sala ryczała ze śmiechu. Po scenie miotał się gruby Tito z okrwawionym toporem, Churchillowi opadały spodnie, piskliwie szczerkał Czang Kai-szek na smyczy trzymanej przez Wuja Sama, aktor grający premiera Rządu Londyńskiego miał autentyczną czkawkę, co nie tylko nie przeszkadzało publiczności, ale wprawiało ją w absolutny zachwyt. Ja byłam „Nędzą Amerykańską”, to znaczy miałam na sobie dwa strzępki materiału ledwo zakrywające to i owo (dla pełnej przejrzystości alegorii z przodu i z tyłu umieszczony był odpowiedni napis). Na widowni ludzie siedzieli w paltach i czapkach, a ja miałam gęsią skórę i z trudem powstrzymywałam się od szczekania zębami. Gdy leciał już końcowy numer, w którym nie brałam udziału, pobiegłam do garderoby urządzonej w gabinecie dyrektora fabryki, żeby coś na siebie narzucić. W gabinecie miał też odbyć się po występie zwyyczajowy „poczęstunek” — pod portretami Stalina i Bieruta czekały już litrowe butelki z czerwoną kartką, na talerzach leżały wędliny, inne zakąski...

Na mój widok zerwało się z krzeseł dwóch młodych ludzi... Wydawali się spłoszeni. Ukradkiem odstawili kieliszki — z kieszonki jednemu zwisał plaster szynki... — No co tak wywalacie gały? — mówię, a byłam już trochę podcięta — nie widzicie, że Nędza Amerykańska zmarła? Należcie coś. — Wyższy z nich, blondyn w samodziłowej marynarce, szybko wydobył spod stołu

butelkę, nalał mi. Wypiliśmy razem. Ten wyższy dość mi się nawet podobał. — Odwróćcie się, muszę się przebrać — mówię, a myślę, jak tu się urwać. Dyrektor, obleśny, ohydny łysoń już przed spektaklem się do mnie przystawiał. Po wódce pewnie sperma całkowicie zaleje mu mózg. — Znacie „Kameralną”? — pytam. — Jak chcecie, możecie mnie tam odprowadzić. — A oni: — Jasne, dobry pomysł, my też chcieliśmy wychodzić, tu nie ma co siedzieć. — Nagle zaczynają się bardzo spieszyć, podają mi futro — zwykłe, wyliniałe futerko z królików — torebkę, kapelusz. — Potem się pani umaluje, chodźmy. — Pomyślałam, żeby może uprzedzić Dziunię, że nie zostanę na bankiecie, ale machnęłam ręką — w końcu jestem dorosła i nie muszę się nikomu opowiadać. Nikt z naszej grupy nie zauważył mojego wyjścia. Dowiedziałam się później, że długo przeszukiwali zakamarki fabryki, przekonani, że przysiadłam w ciemnym kącie za jakąś maszyną i przygłuszona alkoholem zasnęłam.

Wyszliśmy na ulicę, było już ciemno. Zataczałam się trochę, więc objęłam jednego z nich za szyję. — Jak ci na imię? Ja — Antonina. Przyjaciele mówią do mnie Tonia. Wam też pozwalam mówić do mnie Tonia. — Złapaliśmy na Kawęczyńskiej „łebka”, czarnego citroena, który wyłonił się jak spod ziemi. Oni jakoś rozluźnili się w końcu, zaczęli dowcipkować, prawić mi komplementy, jaka jestem odważna, że z dwoma nieznanymi mężczyznami, to teraz rzadkość, itede. „Kameralna” o tej porze była już pełna, ale pan Stefan poznał mnie przez szybę i weszliśmy do środka. Andrzej, ten wyższy, niestety w ogóle nie tańczył, za to Staszek, z twarzy trochę przypominający indyka, wycinał karkołomne hołubce. W tangu zwierzył mi się, że w swojej wiosce zawsze był proszony na wodzireja na weselach. Wyszliśmy objęci, śpiewając na całą Foksał, rozgrzani zabawą i wódką. Czarny citroen czekał na nas, wsiedliśmy. — Miłe chłopaki jesteście — powiedziałam i pocałowałam Andrzeja w policzek. — Mieszkam tu niedaleko, Widok 6, drugie piętro. — Położyłam mu głowę na ramieniu i zasnęłam.

Obudziłam się, gdy wyciągali mnie z samochodu na jakimś ciemnym podwórku. Mówię: — Gdzie my jesteśmy? Przecież ja tu nie mieszkam. — Poprowadzili mnie po trzech schodkach w górę przez oszklone drzwi, korytarz, do jakiegoś pokoju. Myślałam: wszystko jedno, trochę się prześpię i wrócę do domu. Kostek nie może mnie zobaczyć w takim stanie...

— Nazwisko, imię, adres zamieszkania — usłyszałam gruby głos.

Rozejrzałam się. Byłam w niewielkim pokoju, za biurkiem siedział wojskowy — Andrzej! Gdzie jesteście? Czego pan chce? Gdzie są ci chłopcy, z którymi przyszłam?

— Nazwisko, imię, adres zamieszkania.

— Zaraz, zaraz. A z kim mam przyjemność? Dobrze wychowany mężczyzna pierwszy przedstawia się kobiecie.

Wojskowy zaczął wrzeszczeć, że mnie zgnoi, wymyślać od faszystowskich prostytutek i tak dalej, ale przecież nie musiałam się wstydzić swojego nazwiska, więc mu je powiedziałam. Nacisnął dzwonek. Weszła kobieta w mundurze, metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, sto dwadzieścia kilo żywej wagi, z twarzą jak świeża wołowina, a za nią drobniutki, starszy mężczyzna z tęczką jak księgowy. Kazali mi się rozebrać do naga. — Co to, kabaret tu sobie zakładacie? — powiedziałam. — Szukacie dziewczyn do baletu? Daję słowo, że jestem zgrabna, nie mam na ciele żadnych blizn, mogących wywołać u widzów obrzydzenie, chorób skórnych nie przechodziłam...

Tutaj muszę zatrzymać się na chwilę. Można zapytać właściwie, od którego momentu zaczęłam się orientować, że jestem aresztowana. W pełni uświadomiłam to sobie dość późno — na razie była to jeszcze zabawa w złodziei i policjantów. Nie znaczy, że nie dostrzegłam dwuznaczności zachowania moich dwóch adoratorów, czarnego citroena, który znowu wyłonił się jak spod ziemi przed „Kameralną” i zupełnej już jednoznaczności oficera dyżurnego oraz ogromnej klawiszki. Na tyle pijana nie byłam. Miałam jednak wrażenie już w drodze do restauracji, że biorę udział w jakiejś grze, w dziwnym przedstawieniu, w którym jestem jeszcze trochę Nędzą Amerykańską, trochę podrywana dziewczyną i trochę już osaczaną zwierzyną. Czułam podskórnie, że mogę grać różne role, ale żadnego wpływu na sens pointy nie mam. A więc grałam przed sobą i innymi tak długo, jak było to możliwe. Jak z pijaństwem w czasie okupacji: mniej człowiek cierpi, gdy nie wie — lub udaje, że nie wie — że ginie.

Kazali mi rozebrać się, by dokonać tak zwanego przeszukania. Aresztowani znoszą różne upokorzenia bez słowa skargi — często na przykład przeprowadzający rewizję funkcjonariusze zabawiają się głośnym odczytywaniem korespondencji miłosnej delikwenta — ale nie wiadomo dlaczego rozebranie się do naga w obecności obcych, zwłaszcza przeciwnej płci, uważają za coś najgorszego. Protestują wtedy gwałtownie, powołując się na różne prawa, na temperaturę otoczenia, płaczą, co tylko opóźnia i czyni ten cały niezbędny zabieg jeszcze mniej przyjemnym.

Czują się ośmieszeni, bezbronni wobec tamtych zapiętych na ostatni guzik, ale gdyby wiedzieli, że jest to nic w porównaniu z tym, co ich potem czeka...

Zdjęłam wszystko. Strażniczka obmacała mi włosy, zajrzała do ust, uszu i nosa. Potem kazała położyć się na biurku. Księgowy wyjął z teczki vaginoskop i wepchnął mi między nogi. Pogmerał też w kiszce stolcowej. Dziwny to był gabinet ginekologiczny w tej biurowo-wojskowej scenerii.

Strażniczka kazała mi ubrać się — w czasie badania lekarskiego również obmacała moje ubranie — i iść za sobą. Zeszliśmy do piwnicy. Otworzyła z klucza jakieś drzwi i wepchnęła mnie tam. Wepchnęła, bo wejść ot, tak sobie, nie było łatwo. Cella miała może 10 metrów kwadratowych, a było w niej ponad 20 osób — 20 kobiet w różnym wieku i różnej tuszy. Stały i leżały na zmianę, gdyż nie było miejsca, by wszystkie mogły w tym samym czasie robić to samo. Buchnął potworny zaduch potu, moczu i miesiączki.

Nie ma co opowiadać o pierwszych godzinach mojego pobytu w tym przybytku — opisów „syndromu aresztowania” było już wiele. Przesiedziałam na podłodze, częściowo przeleżałam i częściowo przestałam tę pierwszą noc, potem dzień i jeszcze jedną noc... Wrażenia z tych dni zlewają mi się w jeden koszmar: wrzaski strażników, dźwięk blaszanych misek, jęki chorych, smród ekskrementów z kibla. I bezruch w maleńkiej klitce. Dla człowieka wrzuconego tu niespodziewanie był to niezrozumiały, okropny sen. Przez kilkanaście godzin byłam jak ogłuszona — działał jeszcze alkohol. Wreszcie dotarło do mnie z całą jaskrawością: gra się skończyła — jestem aresztowana, zamknięta, odseparowana od bliskich i znajomych. Przelatywałam myślą wszystkie momenty swego życia, które mogły stać się przyczyną tego i nie mogłam nic znaleźć. Owszem, kiedyś zdarzyło mi się nie zapłacić dość wysokiego rachunku w restauracji i uciec, kiedy indziej złapano mnie bez biletu w pociągu, ale nawet gdyby o to chodziło, nie siedziałabym na UB, lecz w zwykłej komendzie milicji.

Kostek tam pewnie biega i szuka mnie po całym mieście, po wszystkich melinach, myślałam z przerażeniem. Żeby jakoś mu dać znać, że tu jestem... Chyba nie przyjdzie mu do głowy, że go opuściłam z własnej woli? Jest tak pewny mnie, jak ja jego. A może już wie? W takim razie na pewno zrobi wszystko, żeby mnie stąd wydobyć. Sprzeda ostatnią koszulę, nawet swego ukochanego „Continentalą”, da sobie rękę uciąć, jeżeli to będzie

konieczne. Ale nie powinno być. Jestem przecież niewinna, nikomu nic złego nie zrobiłam. Władze nie są chyba takie głupie, żeby zamykać niewinnych ludzi — dobrze wiedzą, kto co przeskrobał. Cały ogromny aparat bezpieczeństwa pracuje tylko po to, by odsiać złoczyńców od uczciwych obywateli. Co by im przyszło z zamykania niewinnych? Po co?

W pewnym momencie przyszło mi do głowy dziwne, ale jedyne logiczne wytłumaczenie: to w ogóle nie wydarzyło się naprawdę. To tylko okropny sen. Leżę we własnym łóżku w objęciach Kostka, coś mi się roi i nie mogę się obudzić. — Obudź się — ktoś szarpnął mnie za ramię — obudź się! Wstawaj! — Chciałam otworzyć oczy, ale na próżno... — Co jej się stało? Może umarła? Zupełnie zimna, pulsu brak... — Nieśli mnie sztywną przez korytarz. — Tak, zdecydowanie nie żyje — powiedział głęboki baryton. — Wystąpił już nawet rigor mortis. Trzeba ją stąd usunąć. Zacznie się rozkładać i całe powietrze zatruje. Jeszcze jakaś zaraza wybuchnie. — Rzucono mnie z rozmachem na coś miękkiego. Szczur przebiegł mi po piersiach i otworzyłam oczy. Leżałam na górze śmieci. Ciemno. Koty drą się po kątach. Nadjechał autobus. Wstałam z trudem i wsoczyłam do środka. — Za bilety proszę — mówi konduktor. Chcę sięgnąć do kieszeni, ale nie mogę — ręce mam skute kajdankami. — Niech pan weźmie sam — mówię — tu, w prawej — nadstawiam mu bok. Bierze całą złotówkę, kasuje bilet i wtyka mi w usta. Przygląda się podejrzliwie. Wysiadam przy Chmielnej, potem biegiem na przełaj — już brama, schody, zapach pościeli i wody kolońskiej, stukot maszyny do pisania, za moment obejmie mnie mocno... Na mój widok zrywają się z foteli Andrzej i Staszek. — Czekaliśmy na ciebie... — Wsadzają mnie do czarnego citroena. — To gdzie jedziemy, obywatelu poruczniku? Na „Koszyki”? — zwraca się ku nam Kostek, siedzący za kierownicą...

Budziłam się w kucki pod ścianą, ustępowałam miejsca innym, spokojnie wynosiłam kibel do wychodka, gdy przyszła moja kolej, bez grymasów jadłam kruszący się chleb z kukurydzy, wodnistą, cuchnącą karbolem zupę. Byłam pewna, że Kostek już tam działa w mojej sprawie, że lada dzień wszystko się wyjaśni i zostanę zwolniona. Przecież to oczywista pomyłka. Człowiek chyba sam najlepiej wie, czy ma czyste sumienie. Moje współtowarzyszki znosiły to znacznie gorzej. Niektóre, przyzwyczajone do luksusu bądź starsze czy chore, nie mogły jeść ani spać, płakały, zawodziły, jęczały lub popadały w zupełne otępienie. Jedna z nich, czterdziestoparoletnia, chuda, siwa jak gołąbka, któregoś ranka

nie chciała wstać z podłogi. Gdy druga, która miała według kolejności zająć jej miejsce, popchnęła ją lekko, najpierw dostała w twarz, potem została pogryziona i podrapana. Wszystkie starałyśmy się obezwładnić siwą, ale wstąpiła w nią jakaś niezwykła siła i wkrótce na podłodze utworzył się kłęb wierzgających, wijących się i bijących kogo popadnie kobiet. Otworzyły się drzwi i spadły na nas lodowate bryzgi wody z kubłów.

W Wigilię zaczęłam sobie śpiewać kolędy. Po chwili dołączyły się inne. Strażnik załomotał w drzwi nakazując ciszę. Przerwałyśmy, a gdy się oddalił, zaczęłyśmy znowu, już ciszej i tylko we trzy. Załomotał znowu. Obie kobiety ucichły i pozostałam sama. Wreszcie otworzył drzwi i obrzucił mnie najordynarniejszymi wyzwiskami, jakie mu przysły do głowy. Zagroził, że nas wszystkie dwadzieścia wsadzi do karceru. Nie zamierałam go usłuchać, lecz dostrzegłam strach w oczach innych. Nie śpiewałam więc już więcej.

Minęły święta Bożego Narodzenia i rozpoczął się nowy rok 1952. Połowę kobiet gdzieś zabrano, zrobiło się luźniej, ale wkrótce przyszły nowe. Któregoś dnia — był już chyba koniec stycznia albo luty — klawisz otworzył drzwi i półgłosem wezwał osoby na literę „D”. Podeszły dwie kobiety, powiedziały swe nazwiska, ale tak, że nikt prócz strażnika nie słyszał. Jednak nie to.

— Na literę „D” — powiedział zniecierpliwiony. — Nazwisko? — zapytał pierwszą z brzegu kobietę.

— Sójka Leokadia.

— A wy? — zwrócił się do mnie.

— Ja?

— Tak, wy! Nazwisko! — wrzasnął.

— Dziwisz! — odwrzasnęłam co sił w płucach, aż echo poszło po korytarzu.

— Za mną. — Wyszedłam na zewnątrz. — Nie wiesz, dziwko jedna, że tu nie wolno głośno mówić nazwisk? — Uderzył mnie w twarz. Upadłam, nie spodziewając się ciosu. — Wstawaj. Idź przede mną.

Zostałam wprowadzona do tego samego pomieszczenia, co na początku. Oddano mi torebkę, pasek i inne drobiazgi. Wypuszczają mnie! Kostek zadziałał!

Milczący mężczyzna w trenczu wyprowadził mnie na podwórze, gdzie stał czarny samochód. Dokąd chcą mnie zawieźć? Czyżby tak elegancko do domu? W ramach przeprosin za fatalną pomyłkę?

Ale samochód skręcił z Koszykowej nie w kierunku Śródmieścia, lecz na Mokotów — Aleją Szucha do Placu Unii w Rakowiecką. Wtedy zrozumiałam — nie byłam już tak naiwna; więzienie śledcze... A więc to nie pomyłka, przynajmniej dla nich...

Niewiele zmieniło się tu do dziś — te same korytarze, schody, drzwi, cele. Tylko kolor ścian z szarego zmieniono na beżowy. Owszem, w celach wymieniono jeszcze blaszane kible na porcelanowe muszle klozetowe bez desek. Słowem, jest już pełen komfort, ale wtedy, jeżeli kobieta chciała zrobić siusiu, musiała przykucnąć nad ohydny żelazny kubłem, starając się nie dotykać gołym ciałem ostrego, pordzewiałego od moczu brzegu. Choć otwór był szeroki, zdarzało się, że nie trafiała, i żeby nie śmierdziało, trzeba było wycierać podłogę szmatą, ale wtedy śmierdziała szmata... A przy menstruacji? Nikt żadnych podpasek ani waty nie dostarczał... Więźniarki poświęcały jakąś część swej garderoby i dały ją na kawałki. Codziennie prać nie było można, więc był smród, ciągły smród... Mężczyznom było łatwiej, zresztą jak we wszystkim...

Szłam labiryntem korytarzy, schodów, otwierały się przede mną kraty i drzwi. Słyszałam, jak zamykają się z hukiem za moimi plecami. Czułam, jak coraz bardziej się pograżam w trzewia jakiegoś potwora. Coraz dalej od Kostka i wszystkich bliskich... W najniższe kręgi piekła... Wprowadzona zostałam do pokoju oświetlonego — choć na zewnątrz był dzień — tylko lampką na biurku. Dopiero gdy wzrok przyzwyczaił mi się do mroku, dostrzegłam biurko, na blacie różową dłoń z dymiącym papierosem, w tle okno — zamurowane cegłami... Na ścianie portret. Dzierżyński? Strażnik zameldował doprowadzenie więźnia i wyszedł. Siedzący za biurkiem mężczyzna ubrany był po cywilnemu. Miał koło czterdziestki, czarne, lekko szpakowate włosy, mały brzusek, sprytnie przymrużone oczy i mięsisty, porowaty nos. Nazywał się Franciszek Zawada, ale więźniowie mówili wtedy o nim — „Kąpielowy”. Dlaczego — wyjaśnię później.

— Siadajcie — mruknął, wskazując mi mały stołeczek pod przeciwległą ścianą. Chciałam przysunąć go bliżej biurka, ale ani drgnął — był przyśrubowany do podłogi. Przystąpił do wstępnych formalności: imię, nazwisko, wykształcenie, przynależność organizacyjna, miejsce pracy i tak dalej. Opowiedziałam mu dzieje mojej tułaczki po Powstaniu i kariery artystycznej. Zapisał wszystko w krótkich zdaniach na dużym arkuszu papieru. Potem, jakby tym znudzony, zapalił nowego papierosa i wy-

powiedział kilka uwag na temat tegorocznej zimy. Z uprzejmości dodałam to i owo. Utrwalał się w ten sposób między nami nastrój spokoju i swojskości. Zaczęło nawet być nudno.

— No dobrze — odezwał się wreszcie. — Opowiedzcie mi teraz wszystko o sobie.

— Już wszystko powiedziałam.

— To nie jest wszystko.

— Wszystko, to znaczy — co?

— Wszystko. Nas interesuje wszystko.

— Mam na przykład opowiadać, jak się całowałam z chłopakami na podwórku?

— Dlaczego nie? Może i to się przyda. Mówcie.

— Ale co mam mówić?

— Choćby o tym całowaniu się. Zaczynjcie od tego.

— Ale to są moje sprawy prywatne.

— Sama zaczęliście o tym mówić.

— Przecież to bez sensu.

— Nie wy decydujecie, co jest z sensem, a co bez. Słucham.

— Niech pan lepiej od razu powie, o co chodzi, dlaczego zostałam aresztowana. Żądam wyjaśnień. Szkoda czasu na gadanie głupstw.

— Na wszystko przyjdzie odpowiedni moment. A o czas się nie martwcie. Macie go dużo.

— Jestem niewinna! Nic złego nie zrobiłam!

— Uspokójcie się i mówcie po kolei, jak u księdza na spowiedzi.

Szybciej chyba będzie, jeżeli nie będę się sprzeczać i powiem mu o tych głupstwach, pomyślałam. — Skoro panu zależy — wzruszyłam ramionami. — Był rudy i miał duży nos.

— Kto?

— No ten chłopak, którego pierwszy raz pocałowałam.

— Wy jego czy on was?

— Co za różnica?

— Ile mieliście wtedy lat?

— Nie pamiętam. Może dziesięć, może jedenaście...

— Wcześniej. A kiedy straciliście cnotę?

— Cnotę? — uśmiechnęłam się ironicznie. — Przespać się z chłopakiem, to dla pana „stracić cnotę”? Kompletny moralny upadek? Czyli pana żona jest już kobietą upadłą?

— Nie wymądrzajcie się. Pytam, kiedy przestaliście być dziewicą?

— Co to pana obchodzi? Ale mogę powiedzieć. Proszę

bardzo. Jak miałam dwa latka, nadziałam się na gwóźdź na huśtawce.

— Pytam poważnie.

— Jak pan nie wierzy, proszę wezwać ginekologa.

— Kto to był?

— Kto? Mój pierwszy? Powstaniec.

— Z AK?

— Skoro walczył na barykadzie, chyba był z AK?

Zapisał to.

— Żyje?

— Nie.

— Zginął?

— Umarł od zatrutego bimbru, który podrzucili Niemcy.

— Sama mu się oddaliście czy was zgwałcił?

— Dlaczego miał gwałcić?

Przeglądał mi się długo i uważnie. — Lubicie te rzeczy, co?

— A pan nie lubi?

— Odpowiadajcie na pytania! — uderzył dłonią w blat biurka. — I bez komentarzy! Zrozumiano? Chcesz się, widzę, zapoznać z naszą łaźnią?

Milczałam.

— Zrozumiano? — krzyknął.

— Tak, ale to są w końcu moje prywatne...

— Żadne twoje, żadne prywatne! Wybij to sobie z głowy!

Na każde pytanie, które ci zadam, mam otrzymać prawdziwą i szczerą odpowiedź! Jasne?

Rozmowa przybierała charakter nieco dziwaczny. Co go obchodzi te sprawy? Chyba nie aresztowano mnie za to, że w szkole całowałam się z chłopakami? Do czego on zmierza? Po co mu to potrzebne? Ale pomyślałam, że w końcu nie ma co się upierać. Co to jest wstyd? Lekarzowi opowiada się przecież najintymniejsze szczegóły, a to też jest obcy człowiek. Może jeśli odpowiem mu rzeczywiście szczerze na wszystkie pytania, szybciej zostanę wypuszczona na wolność? Nie miałam przecież nic na sumieniu — mogę mówić o sobie wszystko.

— Wylicz mi wszystkich mężczyzn, z którymi spałaś.

— Nie znam wszystkich nazwisk. Wie pan, jak to było w czasie wojny i tuż po wyzwoleniu... Nikt nie mówił sobie nazwisk...

— Spróbuj sobie przypomnieć. Jak nazywał się ten powstaniec?

— Miał pseudo „Dzik”. Nic więcej nie wiem.

Zapisał. — Co dalej?

— Po upadku Powstania wywieźli nas do Pruszkowa, już mówiłam. Mieszkalam na strychu pewnego domu. Był tam taki chłopak, nazywał się Marian Łasio, czy Łosio, a może Łosiak? Na tym strychu trzymał gołębie...

Znowu zapisał. — Jak do tego doszło?

— Normalnie. Wybierał kiedyś jajka z gniazd, ja weszłam...

— I co? Rzucił się na was?

— Dlaczego? Podeszłam do niego.

— Co dalej?

— Chyba się pan domyśla.

— Dalej! Jak już się wynieśliście z tego Pruszkowa.

— Po wyzwoleniu wróciłam z Berlina do Łodzi.

— Zaraz, zaraz. A w wojsku nic? Tylu mężczyzn naokoło.

— Nie było mi to wtedy w głowie.

— Coś kręcicie. Wszystkie żołnierki sypiały z kim popadło, a wy nie?

— Ja nie.

— Wrócimy jeszcze do tego. I co w tej Łodzi?

— Miałam sympatię. Janusz Tarasini, to znaczy Górko, ale znany był jako Tarasini. Uczyłam się u niego śpiewu.

— Gdzie jest teraz?

— Nie wiem. Ożenił się z moją koleżanką i wyjechali na Ziemię Odzyskane.

— Prowokowaliście go na lekcjach? Cienkie bluzeczki, duże dekolty, zapinanie podwiązek, tak?

— Wtedy jeszcze chodziłam w mundurze.

— Dobrze. Kto następny?

— Mój mąż. Konstanty Dziwisz, ale to chyba oczywiste...

— A potem? Nie zdradzaliście go?

— Co to pana obchodzi?

— Pytam.

— Nie.

— Włóczyliście się przecież po lokalach z różnymi typami. Wiemy o tym. Witolda Lemańskiego znacie?

— Witolda Lemańskiego? — Zawahałam się. Zaskoczył mnie tym nazwiskiem. Wicio był znanym wśród bywalców „Kameralnej” bon-vivantem i podrywaczem. Podejrzewano, że handluje walutą. W tamtych czasach za posiadanie dewiz groziło więzienie, zaś za handel dolarami i złotem prawo przewidywało nawet karę śmierci. Przyznanie się do znajomości z nim mogło być niebezpieczne. Ale pomyślałam: od razu wszystkiego nie muszę mówić. — Tak. Znam.

— I co? Nie spaliście z nim?
— Nie.
— A on twierdzi coś wręcz przeciwnego.
— Skoro pan wie lepiej, po co te pytania?
— Nie twoja sprawa! Odpowiadaj — tak lub nie!
— Nie zna pan takich erotomanów, co gadają na prawo i lewo, że spali z połową Warszawy? W większości to pedały.
— Waluty od niego nie kupowałeś?
— Po co mi waluta?
— W twoim mieszkaniu znaleźliśmy złotą dwudziestodolarówkę.

— Nie mam pojęcia, skąd się wzięła. — A więc o walutę chodzi! Przynajmniej wszystko jasne.

— A w mieszkaniu Lemańskiego byłaś?

— Byłam...

— Mógł ci włożyć do torebki, jak wyszłaś do ubikacji.

— Ale potem bym przecież znalazła.

— Co tam u niego robiłaś?

— Zaprosił mnie na kawę.

— A nie, na przykład, na likier miętowy, a do tego pączki od Pomianowskiego?

Była to prawda. Piliśmy likier miętowy i jedliśmy pączki. Skąd on zna takie detale? — Tak... Skąd pan to wie? — Przypuszczam, że miałam głupi wyraz twarzy.

— My wszystko wiemy. Najdrobniejsze szczegóły.

— To po co mnie pan pyta?

— Chcę sprawdzić, czy jesteś ze mną szczerą. No dalej. Co było, jak już wypiliście ten likier? Kto kogo zaczął rozbierać? On ciebie czy ty jego?

— Nikt nikogo nie rozbierał. Potem wyszłam, bo spieszyłam się do kosmetyczki.

— Mało sprytnie masz wymówki. I mąż ci wierzy?

— Co to pana obchodzi?! — krzyknęłam już rozdrażniona jego ironią. — Nawet jeżeliby tak było? Chyba to nie jest karalne! I niech pan się w końcu ode mnie odczepi! Rozumie pan?!

Przeszedł się po gabinecie, przeciągnął z głośnym ziewnięciem. — A pułkownika Kazimierza Olchę znasz?

— Znam.

— Dobrze?

— Tak sobie.

— No, dalej, dalej. Co możesz o nim powiedzieć?

— Nic specjalnego. Znam go tyle, co inni koledzy z teatru.

— No, chyba z twoimi kolegami Olcha do łóżka nie chodził? Chyba że jest „pedałem”, jak to nazywasz.

Wie, czy nie wie? pomyślałam. Z tym Wiciem Lemańskim wykonałam absolutny bluff. Rzeczywiście, przespałam się z nim raz, zupełnie przypadkowo i zupełnie idiotycznie, ale Kapielowy widocznie mi uwierzył. Tak dokładnych informacji o mnie, jak twierdził, nie posiadał. — Ja z nim też nie chodziłam — powiedziałam lekceważąco.

— To ciekawe. Mamy tu zeznanie kaprała Sokołówko Bogdana — wyjął z szuflady biurka arkusz papieru — że znalazł was z pułkownikiem w sytuacji niedwuznacznej. Mam przeczytać?

Nie miałam wyjścia. Ale trzeba było ratować twarz. — Mówię: do łóżka nie chodziłam. Trawa to nie łożko.

— Oszczędźcie sobie tych dowcipów. Więc przyznajecie się do utrzymywania intymnych stosunków z pułkownikiem Kazimierzem Olchą?

— Jeden raz to nie jest utrzymywanie stosunków.

— Ale zeznanie kaprała potwierdza?

— Żadna tajemnica. Nakryła nas wtedy cała kompania wojska.

— Czyli zdradzaliście męża?

Czułam się, jakby obłano mnie pomyjami. Zauważyłam, że Zawada odetchnął z ulgą. Miał satysfakcję: złapał mnie na kłamstwie, przyznałam się do zdrady Kostka, a kobiety, zwłaszcza mężatki, nie lubią się chwalić takimi rzeczami. Ciągłe jednak nie wiedziałam, do czego zmierza. O dolarach jakby zapomniał. Wspaniałomyślnie poczęstował mnie „Belwederami”, szarmancko podał ognia.

Otworzyły się drzwi i energicznym krokiem wszedł młody, krępy mężczyzna z falującymi włosami. Ubrany był w luźny garnitur z szarego fil-à-filu, twarz miał szeroką, proletariacką, ale oczy bystre, przenikliwe, szarostalowe. Na odległość biła od niego pewność siebie. Obrzucił mnie szybkim, taksującym spojrzeniem, powiedział Zawadzie kilka słów na ucho, ten kiwnął głową. Był to porucznik Tadeusz Morawski, niezwykle ważna, wręcz kluczowa postać w tej opowieści, ale początkowo, zajęta paleniem pierwszego od Bóg wie kiedy papierosa, w ogóle nie zwróciłam na niego uwagi — od nikoty przyjemnie zakręciło mi się w głowie. Było mi tak dobrze, że aż pomyślałam: warto było, mimo całego upokorzenia. Ale od razu pojawiła się druga myśl: słaba jestem, łatwo mnie kupić — za kieliszek wódki pewnie dałabym się unurzać nie w pomyjach, a w gównie.

— No, to koniec na dzisiaj. Podpiszcie. — Kąpielowy podsunął w moją stronę pióro wieczne i arkusz papieru. — Sporo niejasności w waszych zeznaniach. Jutro będę pytał was o to samo. Przypomnijcie sobie wszystkie najdrobniejsze szczegóły.

Podeszłam do biurka na miękkich nogach, wzięłam pióro do ręki. Kąpielowy zaczął zbierać się do wyjścia. Morawski stał spokojnie paląc papierosa. Przyglądał mi się obojętnie.

— Jeżeli jeszcze raz przyłapię cię na jakimś kłamstwie — powiedział Kąpielowy — to cię strzelę w pysk w ten sposób, że popamiętasz do końca życia.

Ręka zawisała mi nad papierem. Odłożyłam pióro, cofnęłam się o kilka kroków. — Niczego nie będę podpisywać.

— Co to znaczy? Dlaczego nie podpiszesz? — Był kompletnie zdezorientowany. Już mu się wydawało, że ze mną tak łatwo. Zerknął na Morawskiego.

— Nic nie będę podpisywać.

— Przecież to jest twoje zeznanie... — Machał mi przed nosem arkuszem. Nie reagowałam. Zawrócił do biurka. — Poruczniku, jeszcze raz od początku, cały życiorys. — Chwycił teczkę i wyszedł.

Zerwałam się i szybko nagryzmoliłam swoje nazwisko. — Wypuście mnie teraz? — spojrzałam z nadzieją na Morawskiego.

Pochylił się ku mnie. — Gdyby to ode mnie zależało — powiedział spokojnie, bez żadnej emocji — takich jak ty stawałbym pod ścianą i strzelał im w tył głowy.

Szłam potem korytarzem. Drzwi, kraty, wysokie żelazne schody, naokoło barierki, szeregi drzwi cel. Czułam zupełną beznadziejność. Jutro ma być to samo. Jak długo? Tydzień? Miesiąc? Pięć lat? Żeby opowiedzieć życie ze wszystkimi szczegółami, potrzeba więcej czasu, niż ono trwało. I znikąd pomocy, porady, serdeczności. Nawet już nie zastanawiałam się, o co w tym wszystkim chodzi.

Znalazłam się w małym pustym pokoju — trzy prycze, tak zwane legimaty, trzy taborety, jeden stół. Wszystko przyśrubowane do ścian i podłogi. I kibel, oczywiście. Pod nogi potoczył mi się tłumoczek koca, z którego wypadła z brzękiem aluminiowa miska i łyżka. Z hukiem zawarły się drzwi. Zazgrzytał metal zamka. Długo stałam na samym środku. Nie zamierzali mnie zwolnić... Zza okna dobiegł krzyk jakby rodzącej kobiety albo kogoś torturowanego, potem drugi. Wdrapałam się na stół, spróbowałam wyrzucić, ale okno było zasłonięte blindą — jaśniał tylko

skrawek nieba. Krzyk powtórzył się. Z wściekłością szarpnęłam siatkę, za którą była szyba, a za nią krata. Wróciłam do drzwi, kopnęłam w nie kilka razy. Niemał natychmiast w judaszu (wbrew ogólnemu przekonaniu więźniowie częściej używają nazwy „lipo”) ukazało się bezosobowe oko — widocznie oddziałyowy klawisz pilnował mnie cały czas. Schowałam się za załom ściany koło kibla, gdzie nie mogłam być widoczna. W całym budynku panowała martwa cisza. Tylko to powtarzające się w regularnych odstępach wilcze zawrodoenie. Stojąc pod ścianą bezmyślnie uderzałam w mur potylicą — na ból nie zwracałam uwagi. Z obu stron celi odezwało się szybkie jak maszyzna telegraficzna pukanie — alfabet więzienny. Ktoś chciał się ze mną porozumieć. Po kilku moich chaotycznych puknięciach sąsiedzi umilkli.

Ocknęłam się na zgrzyt zamka. — Załatwiłaś się? To wychodzi z kąta — powiedział oddziałyowy. Całą jego lewą pierś pokrywały medale, polskie i sowieckie. Zobaczyłam w progu młodą szczupłą dziewczynę. Pod pachami trzymała majdan ubrań, koc, aluminiową miskę, łyżkę, kubek. Zrobiła krok do przodu, potem krok w bok, cofnęła się i zawadziła o kibel. Kubek wypadł jej z rąk, pochyliła się, żeby go podnieść — wtedy wypadła jej miska. Miała duże orzechowe oczy, wąski nos z cieniutkimi chrapami, białą, niemal przezroczystą cerę z piegami i rude, falujące włosy. Uniosła do góry podbródek z dołkiem w środku, zacisnęła wąskie czerwone wargi, jakby chcąc powiedzieć: wiem, że mi wszystko leci z rąk. Ale co z tego?

— Jak masz na imię? Ja Tonia.

Długo mi się przyglądała, jakby zastanawiając się, czy mnie opluć, czy rzucić mi się na szyję. Wreszcie odpowiedziała trochę wyzywająco: — Mira Szajnert — ale było to słabiutkie, żałosne. Najgorszy psycholog od razu by wiedział, że stara się udawać bezczelną i niedostępną, aby uniknąć upokorzeń.

— Za co cię zamknęli?

— A panią?

— Mnie? Za to, że się całowałam z kolegą w szkole. A poważnie, to nie wiem.

Usiadła bezradnie na taborecie, wypuściła z rąk koc. Wyglądała jak sto nieszczęść na randce.

— Dawno tu jesteś? — spytałam.

— Półtora roku.

Ciarki mi przeszły po plecach. Też nie wyglądała na zbrodniarkę. Znowu wrzask zza okna — tym razem przypominało to skamlenie katowanego psiaka.

— Co tam jest, do cholery, za tym oknem? — krzyknęłam. Nie mogłam już tego znieść.

— Szpital.

— Kroją tam ludzi żywcem, czy co?

Znowu otworzyły się drzwi i do celi weszła energicznym krokiem rośła, zgrabna kobieta. Mogła mieć lat dwadzieścia pięć albo trzydzieści pięć. Policzki jej były pulchne, różowo-białe, pokryte jasnym meszkiem jak brzoskwinia. Chociaż dłonie miała duże, spracowane, cała była jak dobrze wypieczona bułeczka — aż chciało się ją jeść. Pozdrowiła Pana Boga i wyciągnęła wałówkę. Poczęstowała nas obie. — Jedzcie, kochane, na zdrowie. — Niepytana zaczęła opowiadać, jak to u nich, pod Chotomowem bije się wieprzki. Opowiadała obrazowo, dosadnie, z gestykulacją. Pokazała tętnicę na szyi, którą należy u świni przekłuć takim ostrym, długim nożem, aby spuścić do miski krew na kaszanekę. Po jedzeniu podwinęła spódnicę — majtek nie miała — i bez żenady głośno wypróżniła się do kibla. Rudowłosa, która przez cały czas nie odezwała się ani słowem i nie przełknęła nawet kęsa pysznej, czosnkowej kiełbasy — zwymiotowała nagle. Wzięłam szmatę i zaczęłam wycierać podłogę.

— Proszę to zostawić — powiedziała. Była jeszcze bledsza, o ile to w ogóle możliwe. — Przepraszam, ja sama...

Kopnęłam drzwi. W judaszu ukazało się oko. — Potrzebujemy gorącej herbaty. Tej pani zrobiło się niedobrze. — Judasz zamknął się i zapadła cisza. Zdjęłam z kibla pokrywę i zaczęłam walić nią monotonna.

— Proszę przestać, mnie już lepiej — próbowała uspokoić mnie Mira.

Drzwi otworzyły się na całą szerokość. — Spokój! — szczerzył oddziaływy — bo jak nie, dostaniesz dwa dni Zakopanego! — Zatrzęsął drzwi.

— Ty gnido, ty bydlaku, wypierdku, palancie na kaczych łapach! — krzyknęłam, ile mi tchu starczyło.

— Niech pani go nie drażni, to nie ma sensu. Nic nie pomoże, a tylko szkodzi.

— Dlaczego mam go nie drażnić? Może mam jeszcze ułatwić i uprzyjemnić mu pracę? Albo sama siebie pilnować? Niech zapracuje na swoją pensję.

— Wie pani co to jest „Zakopane”? Stoi się nago przy otwartym oknie...

Wzruszyłam ramionami. — Po Powstaniu, w zimie, przez pół roku mieszkalam na strychu. Dach był dziurawy. Jak się

budziłam, musiałam strząsać z siebie śnieg. — Widząc jednak, że moje zachowanie ją krępuje, odłożyłam pokrywę na miejsce — smród już zresztą był nie do wytrzymania.

Po apelu rozebrałyśmy się do bielizny, ubranie złożyłyśmy w kostki — obie kobiety udzieliły mi instrukcji — i wystawiłyśmy na korytarz. Światło w celach więźniów śledczych paliło się całą noc. Nie mogłam zasnąć. Leżałam z otwartymi oczami nieruchomo, wpatrując się w silną żarówkę za siatką — światło zaczęło pulsować, zasnuwać się mgłą, oddalać się razem ze ścianami, wreszcie znikło w oddali.

Wstałam po cichu i zapukałam w drzwi. — Ta Szajnert dostała jakiś drgawek — szepnęłam — chyba już kona. — Odziałowy wszedł do celi. Rąbnęłam go z całej siły w głowę pokrywą kibla. Zwalił się bez jęku. Przebrałam się szybko w jego mundur, czapkę głęboko nasunęłam na oczy. Przechodząc przez posterunki, salutowałam tylko. Za bramą puściłam się biegiem — już z daleka słyszę stukot maszyny i muzykę z gramofonu... Schody, drzwi i w przedpokoju zderzam się z Kostkiem, niosącym czajnik pełen wody.

— Uważaj! — krzyczy, woda rozlewa się. — Chcesz żebym się poparzył?

— Przepraszam, spieszyłam się tak do ciebie...

— Gdzie byłeś tyle czasu? — ogląda z niechęcią mój mundur. — Skąd się tu wzięłaś! Trzeba było uprzedzić, że przyjdiesz, a nie tak...

— Byłam w Krakowie, u ciotki, biegłam...

Z naszego pokoju wychodzi Dziunia w różowej kombinacji z koronkami. Chwieje się, jest chyba pijana, robi do mnie perskie oko... Zaglądam do środka — tak, wódka przy łożku, w rozgrzanej pościeli zakąski, śledzie, pełno okruszków. Na gramofonie kręci się płyta. — Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal! — śpiewa idiotyczny tenorek. Kostek jest w samej koszuli, bez slipek, teraz pospiesznie naciąga spodnie. Oboje z Dziunią patrzą na mnie jakoś tak dziwnie, nieufnie... Czyżby mundur ich peszył?

— Tym się nie przejmujcie — mówię — to tylko taki kostium z nowej sztuki... Głodna jestem. — Na maszynie elektrycznej skwierczy patelnia z jajkami. Wdycham upajający zapach przysmażonego boczk. Sięgam ku niej...

Kostek wytrąca mi z ręki widelec. — Wcale nie masz w Krakowie żadnej ciotki, nie bujaj. Sama mówiłaś, że całą twoją rodzinę Sowietci wywieźli na Sybir. — Sam nakłada na swój talerz parującą, żółciutką masę i je ze smakiem. Jego białe zęby

zagłębiają się z chrzęstem w chrupkiej bułeczce posmarowanej masłem. Mówi z pełnymi ustami: — Bujasz, ty zawsze bułasz i będziesz buacz. Tobie nie można weszcz...

Padam mu do nóg. — Tak, zbij mnie, masz rację. Okłamałam cię. Byłam w więzieniu, zabiłam strażnika, uciekłam, ścigają mnie, ukryj mnie gdzieś, jestem głodna, daj mi jeść...

Kostek łagodnie, jak natrętnego psiaka, płaczącego się pod nogami, odsuwa mnie swym miękkim, filcowym kapciem. Powoli smaruje kawałek bułki, przykrywa go różowym plastrem wilgotnej, pachnącej szynki, na to kładzie ogóreczek kwaszony i brązowy, śliski grzybek z octu. — Uczciwy człowiek nie ucieka, a tym bardziej nie zabija strażnika. Skoro cię aresztowali, widocznie mieli powód. Sprawiedliwe ludowe państwo nie może się mylić co do twojej winy.

— Ale ja nie zrobiłam nic złego!

— Każdy coś tam w życiu zrobił, czego się wstydzi. Ja na przykład zrezygnowałam ze święceń kapłańskich. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

— A ja nie! Jestem czysta jak łąza!

— A zapomniałaś, jak w zeszłym roku ukradłaś popielniczkę w „Cristalu”? Nie pamiętasz?

— Tak, to prawda, przyznaję się do winy, ale nikt przecież o tym nie wie!

— Nikt? A ja? Złodziejstwo trzeba tępić.

— Doniosłeś? Kostek, doniosłeś na mnie? — Z rozpaczyny coś dusi mnie za gardło.

Nagle Dziunia wybuchła szlochem: — Kostek, jesteśmy świni! Złe zrobiliśmy! Tonia jest niewinna! Ja to wiem! Jak może być winna, skoro robi takie pyszne placki kartoflane? Na pewno jest niewinna! Pyszne! A tę popielniczkę to ja ukradłam i jej podrzuciłam! — Rzuca mi się w ramiona, całuje, płacze histerycznie, ja też płaczę. — A pamiętasz, Tonia, te włoskie lody, co jedliśmy w Sopocie? Pamiętasz? Ach, jakie pyszne! — Ukradkiem wyswabadam jedną rękę z jej uścisku i sięgam do talerza z szynką. Dostaję klapsa po palcach. Kostek uśmiecha się i grozi mi palcem. — Ach, Boże, jak przyjemnie było w Sopocie kołysać się wśród fal! — krzyczy Dziunia — gdy płynie, płynie woda i łódka sunie w dal! La! La! La! — Bierze coraz wyższe tony, przechodzi w koloraturę i już razem śpiewamy: — Ach, jak przyjemnie kołysać się wśród fal... — Tańczymy po krzesłach, stole, wskazujemy na fortepian, zrzucając książki i gąsior z sokiem, a Kostek spokojnie, z głośnym terkotem wy-

kręca numer. (Zaraz, skąd u nas telefon? Widocznie założyli w czasie mojej nieobecności). — Tak, jest tutaj — mówi półgłosem — możecie przyjechać. Postaram się ją zatrzymać.

— Tonia! — woła do mnie — zagraj nam coś na fortepianie! Coś ładnego.

Ja, rozbawiona, zaczynam bębnić pięściami po klawiaturze — ach, jak przyjemnie, ach, jak przyjemnie...

— Nie to, nie to! Coś ładnego.

Nie przestaję. Odrywa mnie od instrumentu i popycha w kąt. Prztyka igłą na skończonej płycie. Przed domem słychać pisk opon zatrzymującego się samochodu. Na schodach dudnią kroki idących mężczyzn. Porywam jeszcze kawałek bułki, ale Kostek wyrывa mi ze złością: — Zostaw! Ile razy mam ci mówić!

Wchodzi Staszek i Andrzej, ten blondyn. Najpierw zabierają się do chowania do kieszeni wódki, zakąsek, budzika, sztućców. Kostek czuje potrzebę usprawiedliwienia się: — Co ty sobie myślisz? Tyle czasu cię nie było, to się zaręczyłem z Dziunią. Nie mogę mieć teraz na głowie dwóch kobiet jednocześnie.

— No ty, idziemy — trąca mnie Staszek i zatrząskuje kajdanki na moich przegubach. Andrzej zarzuca mi na szyję pętlę z grubego sznura i ciągnie za sobą. Dziunia z Kostkiem, objęci, machają mi na pożegnanie z łóżka udkiem kurczaka.



Po obu stronach korytarza stały białe obdrapane łóżka. Leżący na nich ludzie byli pookrywani swetrami, kocami, płaszczami. Niektórzy mieli na głowach czapki, a na dłoniach rękawiczki. Przy każdym łóżku na podłodze stała jakaś torba, paczka, słoik z kompotem agrestowym lub porzeczkowym, brudne talerze, buteleczki z lekarstwami.

Pielęgniarki, również w paltach, poznać można było tylko po czepkach. Usmoleni hydraulicy rozkuwali udarowym świdrem ścianę przy kaloryferze, rozkręcali rury. Pod łóżka wciekała brązowa, zmieszana z tynkiem woda.

Małgorzata lawirowała wśród łóżek, foteli inwalidzkich, siedzących na krzesłach ludzi, patrząc na numerki na drzwiach. Weszła do gabinetu lekarza dyżurnego. — Dzień dobry, moje nazwisko Świerszczyńska... Nie wiem, czy to z panem rozmawiałam?

Młody człowiek w kożuchu, narzuconym na kitel, szybko przełknął kęs bułki, resztę schował do szuflady. — Przepraszam,

nie miałem kiedy zjeść śniadania... Pewnie chciałyby pani teraz...

— Tak.

— Proszę zjechać na parter, jeżeli oczywiście winda działa... Ja w tym czasie uprzedzę telefonicznie.

W progu się zatrzymała. — Panie doktorze... czy, czy bardzo cierpiała?

— Nie byłem przy tym. To nie był mój dyżur. Ale nie sądzę. Przy niewydolności nerek chory zapada w śpiączkę. Nie zdaje sobie sprawy.

— Wczoraj jeszcze z nią rozmawiałam, była przytomna.

— Ile matka miała lat?

— Pięćdziesiąt cztery.

— Myślałem, że więcej. Bardzo wyniszczony organizm. To idzie szybko, raz dwa.

— Nic innego się nie stało? Wiadomo o braku podstawowych leków, narzędzi... Jakaś pomyłka...

— Rzeźnikami nie jesteśmy. Robimy wszystko, co można.

— No nic, dziękuję. — Chciała odejść, ale teraz on ją zatrzymał.

— Przepraszam, czy pani ma coś wspólnego z Mirosławem Świerszczyńskim?

— To mój mąż.

— Proszę mu przekazać ode mnie wyrazy uznania i podziwu. Nazywam się Krzysztof Witkowski.

— Pan zna Mirka?

— Nie, nie, skąd. Nie widziałem go nawet na oczy. Ale wiem, co robi. Czytam to i owo...

— Dziękuję. Zrobię to. — Uśmiechnęła się lekko.

W hallu kręciło się sporo osób. Przejrzała się w lustrze koło szatni. Przeczesała palcami krótkie, jasne włosy. Najwyższy czas się za siebie wziąć, pomyślała. Wyglądam jak kocmółuch. Nerwowym ruchem wyjęła puder, tusz do rzęs i zaczęła się trochę podmalowywać. Wiele to nie pomogło.

— Kto czeka na mnie? — zawołał starszy mężczyzna w brudnym fartuchu.

Kilka osób zerwało się z ławek. Podążyli za nim ku schodom, prowadzącym w dół. Szli długim ponurym korytarzem. Pod sufitem biegły wiązki rur, na ścianach grube kable. Skręcili za winkel. Mężczyzna otworzył z klucza jedno drzwi, potem drugie. Zamigotało jaskrawe jarzeniowe światło.

W sporym pomieszczeniu na metalowych łózkach pod prześcieradłami rysowały się ludzkie kształty. Przybyli szli wśród wózków i półgłosem odczytywali nazwiska na karteczkach przy-

mocowanych do stóp zmarłych. — Proszę nie dotykać, to nie pani — odsunęła Małgorzatę zadziorna staruszka. Któraś z kobiet wybuchła histerycznym płaczem: — Zygmus! Zygmus...

Małgorzata powoli, z wahaniem odsunęła górną część prześcieradła. Z zaciśniętymi ustami przyglądała się twarzy starszej kobiety o żółtej jak wosk cerze. Matka miała zamknięte oczy i podbródek podwiązany bandażem. Na czubku głowy, jak małej dziewczynce, sterczała jej szeroka, biała kokarda.

— Wychodzimy, proszę państwa — oznajmił kostnicowy.

— Chwilę. Chciałabym zostać sama — powiedziała Małgorzata.

— Nie jest pani jedyna. Inne osoby też by chciały.

— Mam chyba prawo...

— Nic więcej pani nie zobaczy. A tam karawan czeka, muszę iść.

Palcem dotknęła zimnego czoła, oczu i policzków matki. Potem naciągnęła prześcieradło.

W biurze szpitalnym urzędniczka położyła przed nią spódnice, sweter, bieliznę, zegarek, obrączkę, parę starych, rozdeptanych butów. — To wszystko? Niech pani sprawdzi.

— Tak, chyba wszystko.

— Potem reklamacji nie będziemy uwzględniać.

— Nic więcej nie było.

— Proszę podpisać — podsunęła jej papier. — Zgodę na sekcję już pani wyraziła?

— Nie zgadzam się.

— Studenci muszą się na czymś uczyć, żeby potem leczyć

— wtrącił się stojący za nią interesant, przypuszczalnie w podobnej sytuacji.

Udała, że nie słyszy.

— Ci ludzie nic nie rozumieją — powiedział mężczyzna — a potem wymagają od lekarzy Bóg wie czego. Ja to dam się pokroić. Niech ktoś przynajmniej ma ze mnie jakiś pożytek.

— Tu jest świadectwo zgonu. Kiedy zabiera pani ciało?

— Nie wiem jeszcze.

Wyszła przed szpital z torbą pełną ubrań. Jeździły tramwaje, samochody, chodzili ludzie. Świat wyglądał, jakby nic się nie stało.

W przedsiębiorstwie pogrzebowym była duża kolejka. Kobiety w czerni, asekurowane przeważnie przez ponurych, milczących mężczyzn, ściskając w dłoniach zwitki banknotów, omawiały półgłosem z urzędniczkami w kolorowych sweterkach zawilgości karawaniarsko-grabarskie.

— Następna osoba proszę — Małgorzata położyła przed tęgą, tlenioną blondyną akt zgonu. — Ma pani miejsce w grobowcu rodzinnym?

— Nie.

— Gdzie pani sobie życzy pochować... to pani matka, tak?

— Nie wiem.

— Grób ma być murowany? Może od razu na kilka krypt? W sumie wychodzi taniej.

— Ile?

— Proszę — podała jej oprawny w plastik cennik. — Uści pani teraz całą sumę, czy tylko zadatek?

— Nie mam w ogóle żadnych pieniędzy.

— To niedobrze. Wstępne formalności możemy załatwić już teraz, ale najdalej do jutra musi pani wpłacić przynajmniej połowę. Trumna jaka, z krzyżem, bez krzyża?

— Nie wiem, nie wiem...

— Mamusia była wierząca?

— Niech będzie z krzyżem.



Pobudka, ścielenie prycz, mycie w misce, kibel... Nie od razu można się przyzwyczaić do wypróżniania w obecności innych... Śniadanie. Gdy kalifaktor nalewał mi kawy, powiedziałam: — dość, dziękuję... — Spojrzał — bitte? — Skąd tu Niemiec? Potem dowiedziałam się, że wielu zbrodniarzy hitlerowskich pracuje w kuchni, w magazynach. Są sumienni, karni, uprzejmi. Nie to co polskie bydełko... Po śniadaniu strażnicy zwykle otwierali drzwi i wychlustywali na podłogę naszej celi całe wiadra wody. Trzeba było szmatami zbierać dwucentymetrową warstwę. Na porządkach upływał nam wczesny ranek. Prawie codziennie byłam wzywana na przesłuchanie. Przed obiadem odprowadzano mnie do celi.

Mirę wzywano przeważnie popołudniami, na bardzo krótko. O co ją pytano — nie chciała powiedzieć. Chłopka natomiast była wzywana wieczorami. Wracała jakoś dziwnie zmęczona i czerwona na twarzy. Ni stąd, nie zowąd wybuchała śmiechem. Zauważyłam, że po każdym takim wyjściu ma dużo papierosów, których zresztą nie paliła, czekoladę, cukierki, chleb.

Zabijała mnie bezczynność. Spacerów dla więźniów śledczych, zwłaszcza politycznych, nie było. Chodzenie od ściany do ściany,

jak to robią starzy skazańcy, wydawało mi się idiotyczne i upokarzające. Książek ani gazet nie dostawałyśmy — wszystkie pytania na ten temat strażnicy zbywali milczeniem. Kłaść się, czy nawet siedzieć w dzień na pryczy nie było wolno. Co jakiś czas uchylał się judasz i oko sprawdzało, czy wszystko w porządku. Nie wolno było nawet drzemać na siedząco, nie wolno było też siedzieć plecami do drzwi — więzień musiał być nieustannie pod obserwacją. Chłopka potrafiła tkwić w kącie cały dzień bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt. Co się działo w jej czaszce? Zaczęłam podejrzewać, że opracowała metodę spania z otwartymi oczami. Zamknęli ją za zabójstwo. Przyjechał do nich taki ichni sekretarz i chciał ziemię mierzyć, no to go przepędziła. Drugiego dnia przyprowadził chłopaków z pepesami. Zaczaiła się wieczorem pod komitetem i tasakiem, takim do siekania kotletów, zarabiała go. Tyle złości w niej było, że porabiała na drobne kawałki — wszystko oddzielnie: głowa, ręce, nogi. Dlaczego miała nie zarabować, skoro odebrał jej ziemię, na której z dziada pradziada siedziała, skoro wyrzucił ją z chałupy i do chlewa przeniósł? Co to ona, świnia, żeby na gnoju spać?

Mira Szajnert też nie była zbyt rozmowna. Można było do niej mówić godzinami, a ona odpowiadała w najlepszym wypadku półśłówkami. Towarzystwo więc miałam nienajlepsze.

Szereg następnych przesłuchań zlewa mi się w pamięci w jeden koszmarny ciąg bezsensownych pytań i równie bezsensownych odpowiedzi.

— Kto was wciągnął do zespołu artystycznego I Armii?

— Mówiłam. Pewna kobieta. Nie pamiętam nazwiska.

— Poprzednio twierdziliście, że jakiś oficer?

— To była kobieta-oficer.

— Gdzie ją poznaliście?

— W kolejce do ubikacji, w pewnej knajpie.

— Podobała się wam?

— Sympatyczna była.

— Nie o tym mówię. Kobiety czasami lubią sobie z inną kobietą, tego...

— Czego? Niech pan mówi wyraźnie.

— Nie udawajcie idiotki. Wiecie, o co chodzi.

— Skoro pan wie, że ja wiem, to po co owijać w bawełnę? Wstydlivy pan jak dziewczica. Chodzi o to, czy uprawiałam miłość lesbijską, tak?

— No powiedzmy.

— Powiedzmy.

— Co, powiedzmy?

— Że uprawiałam.

— Często?

— A czy ja powiedziałam „tak”? Mówiłam tylko „powiedzmy”.

— Ostrzegam. Odpowiadaj jasno i wyraźnie. I skończ z żartami, bo dam ci taką kąpiel, że do końca życia ci wystarczy.

— Jak ja mogę odpowiadać jasno i wyraźnie, skoro w ogóle nie wiem, o co chodzi? Zadaje mi pan idiotyczne pytania, to daję takie same odpowiedzi!

— Co jest idiotyczne, a co nie — ja decyduję!

— Za co mnie aresztowaliście? Dlaczego tu siedzę tyle czasu? Nie zrobiłam przecież nic złego! Dlaczego nie mogę nawet dostać ołówka i papieru, żeby napisać do mojego męża? Dlaczego nie otrzymuję od niego listów i paczek?

— Tego nie wiem. Nie moja wina, że machnął na ciebie ręką.

— To kłamstwo! — Siąknęłam nosem i wytarłam w rękaw. Było mi wszystko jedno, co sobie o mnie pomyśli.

— Posłuchaj. Albo będziesz grzeczna i będziesz robić co ci każę, albo zginięsz w więzieniu i nikt się nawet o tym nie dowie. Co wolisz?

Milczałam. Sytuacja wyglądała beznadziejnie. Kąpielowy wyjął z szuflady małą karteczkę i spojrzał na nią, jakby dla przypomnienia. — A więc z tego, co mówicie, wynika, że w stosunkach z mężczyznami wy byliście zawsze stroną czynną. Tak?

— Jak pan to rozumie?

— Że to ty ich prowokowałaś do stosunku.

— Bzdura. Zawsze oboje chcieliśmy tego samego.

— Lemański twierdzi, że on wcale nie miał na to ochoty, ale ty zaczęłaś mu rozpinąć koszulę, a potem spodnie.

— Zmyśla. Było dokładnie odwrotnie. Najpierw mnie celowo upił tym ohydny likerem, a potem, jak już nie mogłam poruszać ani ręką, ani nogą, zdarł ze mnie sukienkę i bieliznę. Nie miałam siły się opierać.

— Poprzednio twierdziłaś, że nic między wami nie było. — Kąpielowy wyraźnie się ucieszył.

Ale ze mnie idiotka!, pomyślałam. Tak łatwo dać się złapać! Było już jednak za późno, by zaprzeczać.

— Czyli kłamałaś. Ciągłe kłamiesz. Ostrzegałam, że wyduszę z ciebie wszystko. Ale jeżeli jeszcze raz powiesz choćby słowo nieprawdy, tak cię zamaluję w pysk, że cię rodzony mąż nie pozna! Jasne? Dobra, zaczynamy wszystko od początku. Nazwisko, imię, rok urodzenia, zawód!

— Kłamałam tylko o tym Lemańskim, naprawdę! Reszta jest zgodna z prawdą! — Perspektywa rozpoczęcia wszystkiego od początku przeraziła mnie. Nudy i monotonii bałam się najbardziej.

— Imię, nazwisko, rok urodzenia, zawód! Słyszysz?

— Niech pan mi uwierzy, proszę. Po co to wszystko jeszcze raz zaczynać? Tylko z powodu tej jednej rzeczy?

— Jednej? Jesteś pewna? A jak było z Olchą?

— Mówiłam już.

— To mało.

— Ma pan zeznania świadków.

— Chcę to usłyszeć od ciebie.

— Nie wiem, czy powiem to samo co oni. Mogli napleść jakichś banialuków...

— W takim razie mów wszystko, z detalami. Potem to skonfrontujemy.

— Mogę zapalić? — Ręce mi się trzęsły, czułam silne pulsowanie krwi w skroniach. Bez słowa podsunął mi paczkę, podał ognia. Przez całe ciało przepłynął mi kojący prąd. — Było to tak: byliśmy na występach w jednostce koło Siedlec — zaczęłam mówić cicho, ze ściśniętym gardłem — było lato, upał. Cały zespół zakwaterowano w namiotach. Nie mogłam spać, dusiłam się w środku, więc wyszłam, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Zobaczyłam ognik papierosa. Podeszłam, żeby odpalić mojego. Był to Olcha. Zaproponował kąpiel w rzece — przepływała tam taka mała rzeczka... Kostiumów nie mieliśmy, ale było ciemno, więc pływaliliśmy nago. Potem znaleźliśmy się na ciężarówce przykrytej plandeką. Zapomnieliśmy o wszystkim. Obudziły nas wstrząsy — samochód gdzieś jechał... A nasze ubrania zostały na brzegu rzeki...

— To wszystko?

— Tak.

— Poprzednio mówiłaś, że doszło do tego na trawie.

— Co za różnica?

— Jest różnica. Co jest prawdą? Zdecyduj się.

— Prawdę jest to, co powiedziałam teraz.

— A dlaczego wtedy kłamałaś?

— Nie kłamałam. Nie mogę pamiętać takich szczegółów.

— On tobie zaproponował, a ty poszłaś?

— Było gorąco.

— Nie domyślałaś się, o co chodzi?

— Nie każda kąpiel musi się tak kończyć.

— I rozbierając się w obecności obcego mężczyzny nie czułaś wstydu?

— Było ciemno, już mówiłam.

— To jak trafiliście do rzeki?

— Był księżyc.

— Czyli coś było widać. Dlaczego weszliście na ciężarówkę?

— Ktoś przechodził, chcieliśmy się schować.

— Co stało się w środku? Jak doszło do stosunku?

— Po co te szczegóły? Dlaczego grzebie się pan w moim intymnym życiu?

— To ważne.

— Sam pan chyba wie. Jak zwykle...

— Mówiłaś, że trzeba nazywać rzeczy po imieniu. No to je nazwij. Masz okazję.

Nie odpowiedziałam.

— Kiedy zdecydowałaś się na odbycie stosunku? Tam na ciężarówce, czy wcześniej?

Milczałam.

— To ja ci powiem. Po pierwsze, nie on tobie, a ty jemu zaproponowałaś kąpiel. Zdążyłem już cię trochę poznać, wiem, jaki masz stosunek do mężczyzn. Wszystko sobie zaplanowałaś z najdrobniejszymi szczegółami. Czekalaś tam na niego. Po co? Jaki miałaś cel? Jesteś mężatką, nie powinno ci brakować tych rzeczy. Chyba, że twój mąż jest ofermą i nie potrafi cię zaspokoić.

— Niech pan zostawi mojego męża!

— No, więc dlaczego przespałaś się z Olchą? Jeżeli nie z czystej żądzy, to dlaczego? Miałaś jakiś interes? Chciałaś sobie coś załatwić?

Nadal się nie odzywałam.

— Widzisz, grałaś tylko przede mną taką nowoczesną bezkompromisową, bez zahamowań. A jesteś zakłamaną jak każda drobnomieszczanka. Odwaga, szczerość — tak, ale tylko do pewnych granic. Co to warte? Chyba... chyba, że coś przede mną ukrywasz... Chyba, że za tym coś się kryje... No, dobra, wracaj do celi. Podpisz tylko tutaj — stuknął piórem w arkusz papieru.

Podeszłam do biurka. Chciałam coś powiedzieć, coś wyjaśnić, ale co tu wyjaśniać? Wplątałam się w małe kłamstewka trochę ze strachu, trochę ze źle pojętej dumy i wyszłam na kompletną idiotkę. Przeklinałam się w duchu. Dlaczego tak głupio postępuję? Dlaczego nie potrafię się mu przeciwstawić? Dlaczego daję się wodzić za nos temu draniowi? Zrobił ze mnie szmatę, a właściwie to ja dałam z siebie zrobić. Ale jak tu mówić obce-

mu o uczuciach? Bez tego wszystkiego każdy pocałunek, każda miłość fizyczna wygląda rzeczywiście ohydnie.

W celi usiadłam ciężko na stołku i zaczęłam tępo wpatrywać się w ścianę — zupełnie jak chłopka. Zza okna ze szpitala znowu dobiegało wycie jakichś wariatów czy krajanych żywcem. Przyszedł czas na przesłuchanie chłopki. Zostałyśmy tylko we dwie.

— Tak nie można. — Na ramieniu poczułam rękę.

We wzroku Miry po raz pierwszy zauważyłam jakiś żywszy błysk. Zwróciła na mnie uwagę dopiero, gdy ja zaczęłam milczeć.

— Nie wolno się załamywać — powiedziała cicho.

— Skąd wiesz, że się załamalam?

— Widzę. Zrozum, im chodzi tylko o to, żeby nas załamać, upokorzyć, żebyśmy zachowywały się jak zwierzęta, nie jak ludzie. To ich cel.

Milczałyśmy długo.

— A ty? — powiedziałam. — Dlaczego nie odzywasz się całymi dniami?

— Ja, to co innego. Pamiętaj, to, co na zewnątrz, nie liczy się zupełnie, zwłaszcza tutaj. Trzeba sobie zachować coś głęboko w środku. Trzeba się czegoś trzymać, jakieś wartości. To dodaje siły.

— Trzymam się — mruknęłam bez przekonania.

— Czego się trzymasz?

— Nie wiem, ale trzymam się...

— Można zginać, czasem nawet trzeba zginać, ale pamiętać, tylko wtedy, jeżeli jest po co żyć.

— Nie lubię kazań.

— Chcę ci pomóc.

— Jak ty mi możesz pomóc? — wzruszyłam ramionami.

— Wiesz po co żyjesz?

— Zostaw mnie! — strąciłam ze złością rękę z ramienia. Może byłam głupia, ale nie aż tak, żeby wysłuchiwać podobnych bzdur. Dostyc miałam chrześcijańskiego współczucia i rekolekcji w kościele. Samarytanka się znalazła!

— Rok temu zachowywałam się dokładnie tak samo — odpowiedziała.

Do dziś pozostała mi ta fatalna cecha, że automatycznie, zupełnie bezwiednie odpycham wyciągniętą do mnie rękę. Nie lubię współczucia, brzydzę się litością. Pamiętam moich okupacyjnych opiekunów, roztkliwiających się między jednym kęsem kiełbasy a drugim nad losem biednych, zagłodzonych dzieci żydowskich, pętających się po ulicy. Mam głęboko zakorzenione przekonanie — chyba jeszcze z czasów dzieciństwa — że tylko

ja mam prawo obdarzać współczuciem innych. Jest w tym na pewno zarozumiałość, która bierze się z niepewności i poczucia gorszości. Nie potrafię być mądrzejsza ani bardziej błyskotliwa niż jestem, natomiast wspaniałomyślnością umiem do woli dysponować i dozować ją. Gdy zdobywam się na nią, czuję się lepsza: zmniejsza to moje poczucie niepewności i zagrożenia ze strony silniejszych: obdarzanie litością mnie samej odbieram jako pomniejszanie, odbieranie mi tej mojej lepszości. Wiem, że to głupie, ale co mogę na to poradzić? Mądrzejsza już nie będę.

Słowa Miry zrobiły jednak na mnie wrażenie. Ktoś po raz pierwszy od dawna bezinteresownie zwrócił uwagę na moje przeżycia, przejął się moim stanem. Gdy po apelu leżałyśmy już na pryczach i w całej celi rozlegały się poświstywanie i sapanie śpiących, wstałam i na palcach podeszłam do niej. Pochyliłam się i lekko pocałowałam ją w policzek. Chciałam odejść — nagle na przegubie ręki zacisnęła mi się jej dłoń. Przestraszyłam się — w pierwszej chwili nie zrozumiałam gestu. Przyciągnęła mnie do siebie. Objęłyśmy się mocno. Trwałyśmy tak długo, aż z korytarza dobiegły kroki zbliżającego się strażnika.

— Nie powiedziałam pewnej ważnej rzeczy — zaczęłam, gdy tylko przyprowadzono mnie na kolejne przesłuchanie — był to już czwarty czy piąty raz. — Chciałabym coś uzupełnić.

— Oczywiście. Słucham.

Energicznie założyłam nogę na nogę. — Z tego, co mówiłam, mogło wynikać, że sypiam z mężczyznami ot, tak sobie. Ale to nieprawda. Każdy dla mnie dużo znaczył. Dałam się panu upłatać w szczegóły, a nie powiedziałam o sprawie najważniejszej. O uczuciach.

— Czyli co? Miłość? — uśmiechnął się ironicznie.

— Powiedzmy. — Byłam dumna, że zdobyłam się na tę wypowiedź. Czułam się bardzo bojowo.

— Zakochałaś się w tym powstańcu?

— Pierwszy raz dziewczyny zwykle robią to z miłości.

— Jakie miał pseudo? „Dziki”?

— „Dzik”.

— Poprzednio mówiłaś „Dziki”.

— Jedni mówili „Dzik”, drudzy „Dziki”.

— Znowu coś kręcisz. A ten drugi? Ten gołębiarz?

— Do pewnego stopnia też. — Staralam się mówić spokojnie, z godnością. — Był dla mnie bardzo dobry.

— Tarasini, ten śpiewak — wierzę. Imponował ci. A Lemański? W nim też się zakochałaś?

— To była wyjątkowa sytuacja, już mówiłam. Upił mnie, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje.

— I w tym stanie poszłaś do kosmetyczki?

— Nie poszłam. Zmyśliłam to.

— Ciągłe mówisz raz tak, raz tak.

— Teraz mówię prawdę.

— Skąd mam to wiedzieć? Tyle razy zmieniałaś zdanie. Ustal w końcu jedną wersję, ale prawdziwą.

— To jest prawdziwa wersja.

— A Olcha? W nim też się zakochałaś?

— Naprawdę kocham tylko mojego męża.

— I możesz sypiać z innymi, mimo że kochasz męża?

— Jak widać, mogę. — Poczułam, że znowu brnę w jakieś bagno.

— Ale dlaczego? Z jakiego powodu?

— Takie rzeczy się zdarzają.

— Więc twój mąż w łóżku jest do niczego?

— Tego nie powiedziałam.

— Zatem musiałaś mieć jakiś szczególny powód, żeby przespać się z Olchą. Co chciałaś od niego uzyskać? No powiedz?

— Nic nie chciałam uzyskać! Czego pan ode mnie chce? Przespałam się z nim, bo był sympatyczny, dowcipny, wesoły! I to wszystko!

— I ty go do tego nakłoniłaś?

— Mówiłam! Do niczego go nie nakłaniałam!

— A może on miał jakiś szczególny interes, żeby to z tobą zrobić? Nie jest w końcu z ciebie takie чудо.

— Nie wiem. Lubił mnie.

— No dobrze. Mówiłaś, że sypiałaś tylko z tymi, którzy dla ciebie dużo znaczyli. Ile znaczył dla ciebie Olcha? Co byś dla niego była w stanie zrobić?

— Skończmy już z tym, dobrze? Niech pan przejdzie wreszcie do rzeczy.

— Już przechodzę. Wiesz, co to jest najwyższy wymiar kary? Wiesz?

— Powiedzmy.

— Inaczej mówiąc „czapa”. Kchhh! — przejechał palcem po szyi. — Gdybyś miała wybierać — on albo kula w łeb, co byś wybrała?

— Nie muszę wybierać.

— Wyobraź sobie. Więc jak?

— Dlaczego mnie pan pyta?

— Bo chcę wiedzieć! — walnął pięścią w biurko.

— Wolałabym żyć — wzruszyłam ramionami.

— Znakomicie. A więc nie znaczy on dla ciebie aż tak wiele. Umrzeć za niego nie chcesz. Słuchaj, tu nie ma co owijać w bawełnę, wyglądasz na rozsądną. — Rozsiadł się wygodnie, zabębnił palcami po blacie. — Jak ty nam pomożesz, my pomożemy tobie. Możemy na przykład wystąpić z wnioskiem o zmniejszenie albo nawet całkowite darowanie ci kary.

— Kary? Za co? Nic złego nie zrobiłam.

— Tak ci się wydaje? Powiedz mi wszystko, co wiesz o Olsze: z kim się spotykał, o czym rozmawiał z innymi oficerami i tak dalej.

— Nie wiem. Nie podsłuchiwałam.

— A o czym ty z nim rozmawiałaś?

— O głupstwach.

— Konkretnie.

— O naszych osobistych sprawach.

— W takim razie opowiedz o tych sprawach osobistych.

— Mówię, to nic ciekawego.

— Tak ci się tylko wydaje. Był wojskowym, ty kiedyś też byłaś w armii. Musiały padać jakieś nazwiska, numery jednostek wojskowych, stopnie służbowe.

— Nie pamiętam.

— Przypomnij sobie. Dla nas wszystko jest ważne. Każdy szczegół.

— Skoro mówię, że to były rozmowy na tematy osobiste, nie mogę o nich opowiadać — powiedziałam z uporem.

— Skończ z tymi bzdurami! Powtarzam: my decydujemy, co jest osobiste, a co nie! Co to za sprawy, że nie możesz o nich mówić? A może wiesz o jakimś przestępstwie i ukrywasz to? Znasz chyba przepis, że za ukrywanie przestępstwa grozi wyrok do lat pięciu.

— Pan mnie nie rozumie. Nic nie wiem o żadnym przestępstwie. Ale osobiste, to osobiste. Nie mogę o tym mówić byle komu, bo przestaną być osobiste. A pan jest dla mnie obcy.

— A o tym, jak się pieprzyłaś na lewo i prawo z byle kim, to mogłaś mówić? Co? Pytam się?

— To co innego. Po pierwsze, na początku byłam głupia i dałam się pociągnąć za język, a teraz pan używa tego przeciwko mnie. Po drugie, to normalne, że ludzie śpiąją ze sobą. Mówienie o tym nikomu nie szkodzi. Najwyżej może wyniknąć awantura małżeńska. Ale powtarzanie tego, co ktoś mówi

w zaufaniu, jest draństwem. Można tym zrobić komuś dużą krzywdę.

— Skąd wiesz, że Olsze zaszkodzi to, co o nim wiesz?

— Nie wiem, jak pan to wykorzysta.

— Zostanie to między nami. Twój mąż się nie dowie.

— Nie o to chodzi.

— Dobrze, będę z tobą szczerą. Wyjaśnię ci całą sprawę. Ale szczerść za szczerść.

— Ja trochę bujałam, to fakt. Ale skąd mam wiedzieć, że pan nie kłamie?

— Daję ci słowo, że powiem wszystko.

— Jeżeli wszystko, to zgoda.

— A ty dajesz słowo?

— Wszystko za wszystko.

— Posłuchaj w takim razie. Nasze organa bezpieczeństwa zdemaskowały Olchę. Dopuścił się najcięższej zbrodni: zdrady ojczyzny, szpiegostwa na rzecz mocarstw zachodnich i sabotażu. Rozumiesz teraz?

— To niemożliwe.

— Jest aresztowany. Dlaczego miałbym kłamać? Zobacysz go wkrótce — przeprowadzimy waszą konfrontację. Myślałaś, że to chodzi o ciebie? Nas takie plotki nie interesują.

Zaskoczyło mnie to i przynębiło. Słyszałam co prawda o czystce w wojsku, obili mi się o uszy proces generałów Tatara i Kirchmayera, ale do głowy by mi nie przyszło, że taki kozak i fanfaron może być w cokolwiek zamieszany. Nawet jeżeli jest niewinny, to oni go traktują jak winnego. Wyrok śmierci czy tak, czy tak. Zrozumiałam też nareszcie w tym momencie, że historia z Wiciem, dolarami i innymi bzdurami była tylko zasłoną dymną. Ile razy jeszcze dam się wyprowadzić w pole jak ostatnia idiotka? A może ta historia jest zasłoną dla innej, jeszcze poważniejszej sprawy? Bardzo prawdopodobne... On nigdy mi prawdy nie powie. To teraz jasne. Obserwowałam go kątem oka, jak pokerzysta przeciwnika: po jego wyrazie twarzy musiałam się zorientować, jakie ma karty w ręku.

Siedziałam długo bez słowa. Wstałam i machinalnie sięgnęłam po papierosa, leżącego na biurku. Kąpielowy w pierwszej chwili chciał coś powiedzieć, ale zrezygnował. Miał minę jak właściciel kasyna, który zawsze wyjdzie na swoje.

— Ja nie wiem, czy był szpiegiem — powiedziałam w końcu ostrożnie. — Skąd mam wiedzieć, czy to prawda?

— Bo ja ci to mówię! Śmiesz wątpić w moje słowa? Mamy dowody, zeznania świadków!

— Ani mnie, ani nikomu innemu nie zrobił żadnej krzywdy. Wiem to z całą pewnością.

— Co ty możesz w ogóle wiedzieć? Punkt widzenia mrówki na życie słońca! Robił krzywdę państwu, nam wszystkim, rozumiesz? Sprzedawał za dolary tajemnice państwowe, chciał zniszczyć nasz kraj, rozpętać nową wojnę światową, oddać nas w niewolę imperialistom amerykańskim!

— Nie znam się na polityce. Wiem jedno, był moim przyjacielem.

— Przyjacielem! — Kąpielowy wybuchnął sztucznym śmiechem. Marny był z niego aktor. — Ty masz chyba nie po kolei w głowie! Ładny przyjaciel! Szpieg i dywersant! Opanuj się, kretynko! Sama sobie zakładasz pętlę na szyję. Dla ciebie jakiś zaszary przyjaciel jest ważniejszy niż życie milionów ludzi? Wszystko, co z takim trudem odbudowaliśmy, ma być zniszczone przez jakiegoś drania, obrócone znowu w gruzy? I ty go nazywasz przyjacielem? Gratuluję towarzystwa! Co jest dla ciebie ważniejsze? No? Odpowiadaj!

— Najważniejsza jest lojalność.

— Dam ci szansę. Nasze ludowe państwo nie patyczkuje się ze zdrajcami, potrafi jednak docenić skruchę i pomoc w ujawnieniu współników.

— Nie jestem niczyją współniczką.

— Myślisz, że jakikolwiek sąd na świecie w to uwierzy? Byłaś kochanką szpiega i zdrajcy. Mamy tu twoje zeznania, podpisałaś je własną ręką — puknął w blat biurka. — Chyba, że przekonamy sąd, żeby cię łagodnie potraktował. Ale tylko pod warunkiem, że nam pomożesz.

— Nie mogę pomagać panu przeciwko niemu. On jest moim przyjacielem, a pan, nawet nie wiem, jak się nazywa.

Zerwał się zza biurka, pochylił nade mną. — Jesteś idiotką czy tylko taką udajesz? Tu chodzi o rację stanu! To nie żarty. Za to grozi kara śmierci, a ty wyjeżdżasz z jakimiś duperelami. Wiesz, gdzie mam twoją lojalność? Olcha był szpiegiem, szkodził Polsce, naszej wspólnej ojczyźnie! Musimy go zdemaskować do końca. To jest także twój obowiązek, obowiązek wobec kraju, który daje ci jeść!

Ponieważ milczałam, usiadł i zaczął coś pisać. Gdy skończył, kiwnął na mnie głową. — Podpisz.

Podeszłam do niego, wzięłam pióro do ręki, postawiłam pierwszą literę. Zawahałam się.

— No, dalej.

— Chciałabym to przeczytać.

— Chyba pamiętasz, co mówiłaś.

— Nie bardzo. — Dostrzegłam dziwne zdanie. — Co to jest?

— To, co zeznałaś.

— „Odbywając ze mną stosunek płciowy chciał pozyskać mnie do swych zdradzieckich, antypaństwowych celów i zwerbować mnie do organizacji szpiegowskiej...” — przeczytałam. — Ja tego nie powiedziałam.

— Nie czepiaj się słów. Musiałem to skondensować.

— Chciałabym zobaczyć poprzednie zeznania.

— Już je podpisałaś.

— W takim razie tego nie podpiszę.

— Podpisuj!

— Nie.

— Bo pożałujesz!

— Nigdy niczego nie żałuję.

Przeszedł się zamasyście po gabinecie, stanął przede mną. Czułam na twarzy jego oddech. — Przeceniłem cię. Jesteś głupia gęś. Ale zastanów się jeszcze. Daję ci czas do jutra. Pamiętaj tylko, że z takimi kurwami jak ty władza ludowa nie będzie się patyczkować. Jeżeli będziesz się stawiać, posiedzisz sobie w łaźni ze dwa dni. Odechce ci się wszystkiego. Będziesz błagać nas na kolanach, żebyśmy ci pozwolili to podpisać, ale wtedy już może być za późno. — Nacisnął dzwonek. Natychmiast wszedł klawisz. — Odprowadzić.

Wolno podeszłam do drzwi. Wyglądało, że pogróżki zrobiły na mnie wrażenie. Zatrzymałam się w progu. — Chciałam coś powiedzieć...

— Tak! — spojrział z nadzieją.

Wróciłam do biurka, rozduśiłam zgąśłego papierosa w popielnicze: — Do dupy są te „Belwedery”. — Odwróciłam się na pięcie i wyszłam. Od dawna nie czułam się tak wspaniale.



Stała na ganku starego, drewnianego domu, otoczonego gęstym, zapuszczonym ogrodem. Ogromny wilk obwachiwał jej buty i merdał ogonem. — No, dobrze, Maczek, dobrze. Odejdź — pogłaskała go po łbie. Nacisnęła dzwonek trzy razy długo i trzy razy krótko. — Kto tam? — odezwał się głos po dłuższej chwili. — Ja, Małgorzata. — Szczęknęły zamki i zasuw. Drzwi uchyliły się nieznacznie, w szparze ukazała się brodata twarz Sergiusza.

— Nareszcie. — Zwolnił łańcuchy i wpuścił ją do środka.
— Co się stało? Szedł ktoś za tobą?

Skierowała się bez słowa w dół piwnicy, skąd dobiegały dźwięki dyskotekowej muzyki. Przeszli obok sterty węgla i drugiej, kartofli. Na regałach stały rzędy słoików z konfiturami. Weszli do dużego pomieszczenia o ceglanych ścianach, oświetlonego jaskrawo żarówką z odbłaskiem. Na półkach zbitych z surowych dech piętrzyły się ryzy papieru. Janusz, umazany na czarno, kiwnął jej głową, nie przerywając mieszania farby w kubie. Na podłodze klęczała dziewczyna z szopą czarnych, kręconych włosów i rozkładała egzemplarze. Małgorzata z dużej torby wyjęła plik zapisanych matryc białkowych.

— Myśleliśmy już, że coś się stało — powiedział Sergiusz.
— To wszystko? Cały numer?

— Wiktor ma jeszcze donieść recenzję z tomiku Tejota.

— Widziałas się z Olechowskim w sprawie Mirka?

— Nie miałam kiedy. Muszę pożyczyć forsy. Ze dwadzieścia, trzydzieści tysięcy.

— Ja nie mam. A jak twoja matka? Lepiej? Oo... — urwał. — Przepraszam.

Usiadła na krześle, wzięła bezmyślnie do ręki zadrukowaną kartkę. Sergiusz wyłączył magnetofon i zapadła cisza.

— Uważaj, jeszcze mokre — powiedziała czarna dziewczyna. — Mamy tu z dziesięć tysięcy, nie, Sergiusz? Ale to na papier... Człowiek ma zaraz przyjść z towarem...

— U Jacka byłeś? Tylko on może mieć. Najlepiej jedź do niego od razu.

— Tak, tak...

— Może ci zrobić herbaty?

— Nie, dziękuję.

— A może kieliszek czegoś mocniejszego? Wiem, że nie pijesz, ale...

— Nie zajmujcie się mną. Dam sobie radę. Chciałam tu tylko chwilę spokojnie posiedzieć. Zaraz pójdę. Mam masę spraw do załatwienia.

Wrócili do powielacza. Janusz założył matrycę, nalał farby. Siedziała z głową opartą o ceglana ścianę. Prawie bezgłośnie poruszała wargami: — mama, mama...

— Mówiłaś coś?

— Nie, nie.

— Głupio cię pocieszać w takiej sytuacji. Ale pomyśl też, — że wreszcie przestała cierpieć. Sama mówiłaś, że te ciągłe dializy, transfuzje, to gólgota. Dla niej to może lepiej.

— Może... Życie miała bez sensu. Zupełnie bez sensu. Przeżyła pięćdziesiąt cztery lata i nic po niej właściwie nie zostało... Ciekawe, czy moja córka po mojej śmierci powie to samo?

— „Zostanie po nas złom żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń...”. O to chodzi? Po ich pokoleniu jednak zostało coś więcej. Niepotrzebnie się Borowski obawiał. Więc ty się też nie bój.

— A co po nas zostanie?

— Nie masz teraz innych zmartwień? Pewnie co innego, niż myślimy. Tak jak po nich.

— Masz pewność?

— Nikt jej nie ma.

— Uważała, że wpędzam ją do grobu tym, co robię. W marcu 68 roku byłam jeszcze w szkole. Kuratorium wydało nakaz, by rodzice osobiście odbierali dzieci po lekcjach. Dzieci! Miałam 16 lat. Urwałam się z wu-efu i poleciałam pod Uniwersytet. Pamiętam, niemal zupełnie pusty Nowy Świat, Krakowskie Przedmieście, środkiem pełzną wolno milicyjne suki z siatkami na szybach, ludzie przemykają pod ścianami. Na schodach kościoła Świętego Krzyża tłum skanduje: — ges-ta-po-ges-ta-po... I nagle przez to przebija się straszny krzyk: — Małgosia! Małgosia! — Patrzę, a po drugiej stronie stoi mama, bez szalika, rozchełstana, ledwo żywa ze zmęczenia. Biegła spod samej szkoły, jak zobaczyła, że mnie nie ma...

— Jak widać, nic to nie pomogło — uśmiechnął się lekko Sergiusz.

— Miałam wtedy straszne wyrzuty sumienia...

— Nie martw się teraz. Każdy ma jakiś taki wyrzut.

Zapadło milczenie. Maszyna szumiała monotennie, wypływając zadrukowane kartki. Na stoliku rósł stosik tytułowej strony „Tętna”.



Nie wezwali mnie na przesłuchanie ani następnego, ani jeszcze następnego dnia — widocznie Kąpielowy uważał, że czas pracuje na jego korzyść i że oczekując w napięciu z godziny na godzinę, odpowiednio zmięknę. Ale nie przewidział tego, co się stało między mną a Mirą. O tamtej nocy nie rozmawialiśmy, lecz powstała między nami jakaś niewidoczna więź, szczególny szyfr — wystarczyło jedno pozornie nieznaczące słowo, sposób pochylecia głowy albo zmrużenie oczu, wyraz twarzy, delikatny ruch dłonią, abyśmy w lot chwyciły, o co nam chodzi. Moje

siedzenie w więzieniu nabrało sensu — jestem tu, mówiłam sobie, bo jest tu Mira. Nawet gdyby chcieli mnie teraz zwolnić, nie mogłabym przecież jej opuścić. Bardzo mnie to wewnętrznie podbudowało i ukojiło. Czułam, że znowu staję się sobą — może nie dokładnie tą samą, którą byłam przed aresztowaniem, ale zaczęłam znowu identyfikować się z własnymi czynami. Zewsząd otaczała nas wrogość, w najlepszym razie obojętność. Dawaliśmy sobie to, czego w izolacji od zewnętrznego świata potrzebowaliśmy coraz bardziej: wiary, że racja jest po naszej stronie, wiary, że kiedyś wreszcie ten koszmar się skończy. W gruncie rzeczy nie wiedziałam, kim jest Mira. Uważałam, że skoro o sobie nie mówi, ma ważne ku temu powody. Starczało mi to, co robiła dla mnie.

Nasz szyfr powstał też z konieczności: okazało się bowiem, że chłopka dostaje to całe żarcie i papierosy od strażników za usługi erotyczne. Wieczorami, gdy wszystko cichło, wzywali ją niby na przesłuchanie i prowadzili do ubikacji lub do dyżurki. Na podłodze lub na biurku kopulowali ją z godzinę czy dwie i, zaopatrzwszy w tabliczkę czekolady czy cokolwiek mieli pod ręką, odsyłali do celi jeszcze rozgrzaną i rozdobrzoną. Sama nam zresztą o tym powiedziała: — Trzeba się dobrze odżywiać, żeby z sił nie opaść. A od tego nic mi nie ubędzie. — Jedno spojrzenie na Mirę wystarczyło, by wiedzieć, że myśli to samo, co ja. Od tego czasu trzymałyśmy się od niej z daleka, choć trzeba przyznać, częstowała nas hojnie swymi łupami — w końcu nie było pewności, czy przy okazji nie donosi, co się mówi w celi.

Pełna izolacja jednak nie była możliwa. Starałam się nie mówić głośno o rzeczach poważnych — dla zabicia czasu opowiadałam dowcipy, anegdotki z życia teatralnego, śpiewałam różne piosenki. Opowiedziałam na przykład, jak raz nasz teatr pojechał na występy do jednostki pod Ostródą. Po spektaklu była potężna libacja. Późno w nocy rozbawione towarzystwo wyległo na plac ćwiczeń i zaczęło się wdrapywać na czołgi i armaty, pohukiwać i jodłować. Wartownicy próbowali nas zgonić, lecz Olcha, który tam wtedy był z nami, sam mocno podcięty, najpierw ustawił ich na baczność, potem poczęstował „camelami” i oznajmił, że on to bierze na swoją odpowiedzialność. Wszyscy wiedzieli, kim jest Olcha i że dowódca garnizonu, pułkownik Krysiak, jest jego starym kumpem z czasów wojny w Hiszpanii. A więc Olcha objął pełną komendę nad artystami. Pozwolił nawet kilku paniom, w tym mnie, wejść do środka czołgu. Ktoś coś naciskał, przesuwiał dźwignie, ładował do lufy — nie wiem, nie znam się na tym — fakt, że armata wystrzeliła. Pocisk oka-

zał się na dodatek ostry i rąbnął w garnizonową latrynę — na szczęście o tej porze pustą. Zrobił się rwetes, zarządzono alarm bojowy, rozespiani żołnierze miotali się w ciemnościach. Byli chyba święcie przekonani, że imperializm amerykański pokazał kły i że zaczyna się trzecia wojna światowa. Pamiętam potem siebie, jeszcze ze dwie wystraszone i ledwo trzymające się na nogach tancerki oraz Olchę w jakimś gabinecie przed miotającym się i rzucającym obficie „kurwami” Krzysiakiem, któremu z nogawki wystawała piżama w różowo-niebieskie paski. Skończyło się na kolejnej butelce wódki, którą przezornie przyniósł Olcha. Wypiliśmy ją już jednak w atmosferze powagi i cicho jak trusie.

Moją opowieścią udało mi się rozbawić Mirę. Uśmiechnęła się, co było dla mnie największym komplementem. A więc jakieś zdolności aktorskie jeszcze posiadam!

Po tygodniu chyba w otwartych drzwiach stanął oddziałowy i powiedział: — Na literę „D”. — Poprowadził mnie w inną stronę niż zwykle. Słyszałam jak rytmicznie dzwonią mu orderzy na piersi. Aby uniknąć jakichkolwiek kontaktów więźniów między sobą, strażnicy dla ostrzeżenia innych zwykle uderzali kluczami o żelazne poręcze schodów, o ściany lub gwizdali. — Odwrócić się do ściany — warknął mój klawisz. Zdążyłam jednak dostrzec wysokiego młodego mężczyznę w kajdankach. — Do ściany, kurwo! — Popchnął mnie z wściekłością. Uderzyłam głową o mur i osunęłam się na podłogę. Oddziałowy, nieco przerażony, podskoczył ku mnie. Zanim się zorientował, wstałam szybko. — Cześć — powiedziałam do więźnia, który mijał mnie w tym momencie. — Wam pewnie brak bab, a my marzymy o chłopie. Do widzenia! — Obydwaj strażnicy bluznęli okropnie i odciągnęli nas gwałtownie w przeciwnie strony. Mój był wściekły, że tak dał się nabrać. Mocno szturchnął mnie kolaniem w kość ogonową. — Jeszcze mnie popamiętasz — syknął. — Przystojniejsi próbowali i im się nie udało — odpowiedziałam.

Sprowadził mnie do podziemia. Kazał mi poczekać pod drzwiami, sam zapukał głośno. W tym momencie gdzieś z końca korytarza dobiegły trzy stłumione strzały, jeden po drugim. Ciarki mi przeszły po plecach. Piwnice te miały ponurą sławę — podobno wykonywano tu wyroki na przestępcach politycznych... Czyżby w tej chwili zabito tego skutego chłopaka? — Wejść! — rozległ się głos zza drzwi.

Znalazłam się w małym pokoju, wyglądającym trochę jak zwykła cela, z tym, że bez łóżek. Na środku stał Kąpielowy. —

Siadaj — rozkazał. Nie było stołka, musiałam więc usiąść na kiblu. Izba tortur? — przemknęło mi przez głowę. — Co ci jest? — dostrzegł krwawy siniak na moim czole.

— Nic, potknęłam się na stopniach...

— Nie uderzył cię strażnik?

— Skąd? To bardzo miły facet.

Potem zaczął mnie straszyć rozstrzelaniem, wieszaniem, rozsmakował się opisując moją powolną śmierć w męczarniach, ja zaś zacięłam się i powtarzałam jedno zdanie: — O sprawach osobistych rozmawiam z przyjaciółmi. — Co będzie, to będzie, myślałam. Niech mnie zabiją, ale nie mogę tak ni z tego, ni z owego po kilku pogroźkach zacząć mówić. Znowu bym wyszła na idiotkę. Po godzinie pot ściekał mu z czoła. Ja miałam się nieźle. Cały czas jednak świdrowała mnie myśl: czy rzeczywiście rozstrzelali tego chłopaka? Nie starali się wcale tego przede mną ukryć. Może to spotkanie na schodach nie było przypadkowe?

Wezwał strażnika, ale nie zostałam odprowadzona do celi. Kazał mi poczekać na korytarzu. Co teraz zobaczę? Co usłyszę? Trochę jednak mi ślina wyschła w ustach. W ciszy panującej w podziemiu usłyszałam ze środka zgrzyt pokrywy kibla, potem pluskający strumyczek.

Otworzyły się drzwi. — Wchodzić — burknął. Bez krępacji dopinał jeszcze rozporek. — Będiesz wreszcie mówić?

— Mnie się też chce siusiu.

— A może chcesz pójść do łaźni?

— Przydałoby się. Lepiej niech mnie pan nie wacha.

— A może chcesz, żebym ci zrobił „loczki”?

— Jakie loczki?

— A takie — chwycił pasmo moich włosów, nakręcił sobie na palce i pociągnął boleśnie. — No, jak? Podoba ci się to? Łzy same napłynęły mi do oczu. Zdobyłam się jednak na wysiłek. — Dziękuję. Nie mogłam się tu doprosić o fryzjera.

Rozległ się trzask, w oczach stanęły mi świece, poczułam ból w twarzy. Spadłam z kibla, ale wygramoliłam się z powrotem. Z nosa ciekła mi krew. — Teraz jeszcze z drugiej strony, bo będą nierówno zakręcone...

— Ty dziwko! Ty szmato! Rozbieraj się! Do naga! Już ja cię nauczę!

Szybkość, z jaką zdjęłam ubranie, zbiła go nieco z tropu. Gdybym protestowała, prosiła — zmuszając mnie, krzycząc, czułby się nadal w swej roli. Pozbawiona ubrania, przestałam być krnąbrną więźniarką, stałam się tylko kobietą. Nie mógł teraz on, ubrany, zadawać pytań mnie, nagiej, o stosunek z innym

mężczyzną. Byłoby to trochę dwuznaczne. Stałam normalnie, luzno. Trochę tylko przeszkadzała mi cieknąca krew — co chwilę musiałam ją ocierać. Byłam więc naga — no i co z tego? Musiał mnie jeszcze bardziej upokorzyć. — Uklęknij — rozkazał. Uklękałam, wypięłam brzuch. — Schowaj brzuch! Na czworaka! — Stałam na czworakach, piersi mi dyndały swobodnie. Doprowadziło go to do wściekłości. — Wstawaj! Unieś jedną nogę! Rozłóż ręce! — To było rzeczywiście niewygodne. Nawet Greta Garbo nie wyglądałaby pociągająco w tej pozycji. O to mu chodziło. — Stój prosto! Nie podpieraj się!

Nagle wszedł Morawski. Zatrzymał się w progu nieco zdetonowany — widać było, że brak mu jeszcze obycia. Półgłosem zaczął coś referować Kąpielowemu. Ten kiwał głową, przerzucał przyniesione papiery i w ogóle obaj starali się zachowywać tak, jakby nie było tu żadnej nagiej kobiety, ale musiało im być też trochę niewygodnie. W pewnym momencie Morawski zerknął w moją stronę. Szybko przesłałam mu w powietrzu pocałunek. Odwrócił się, ale nic nie powiedział. Tym samym stał się moim mimowolnym współnikiem. Gwałtownie zebrał papiery i chciał wychodzić, ale Kąpielowy wołał już zostać z nim niż ze mną.

Pewnego dnia zapoznałam się z kabaryną, innymi słowami karcerem. Postanowiono nas wykapać. Było to wielkie święto. Zaszczytu czystości mogli dostąpić w zasadzie tylko więźniowie karni, gdyż nie przestrzegano wśród nich tak surowo zakazu kontaktów — śledczy musieli śmierdieć. Być może władze obawiały się epidemii lub wszy... Małe, ciemne pomieszczenie o śliskich ścianach. Pod sufitem biegły rury z otworami. Nie było siatek, więc woda leciała we wszystkie strony — oprócz tej właściwej. Kąpiel ożywiła mnie bardzo. Czy właśnie tym straszyl mnie ciągle Kąpielowy? Nic w tym strasznego nie zauważyłam.

Do naszego pawilonu trzeba było przejść przez podwórze. Zobaczyłam wreszcie szpital — przez zakratowane okna wyglądały ostrzyżone na łyso czaszki. Mężczyźni czy kobiety? Jakiś żalosny stwór wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki i machał ręką. Popatrzyłam na moje współtowarzyszki — nie wyglądały dużo lepiej: szły człapiąc, bierne, zrezygnowane, z pochylonymi głowami. — Ej, dziewczynki! — krzyknęłam — Gimnastyka! Gimnastyka dla zdrowia! Chcecie wyglądać jak tamci? No, raz, dwa! Biegiem dookoła placu marsz! — Dając przykład, zaczęłam robić przysiady, skłony, biegać w kółko. Nikt prócz strażników nie zareagował. Rzuciłam się do ucieczki — kara i tak będzie

ta sama, a chciałam być jak najdłużej na świeżym powietrzu. Od dzieciństwa nie bawiłam się w berka. Ich nieporadność, niezręczność była szalenie zabawna. Te miny, gdy wymykałam im się spod samych rąk! W końcu zagnali mnie hurmem w kąt i, jeszcze śmiejącą się, obezwładnili. Ten sam oddziałowy, który popchnął mnie na ścianę, wykręcił mi rękę. — No i doigrałaś się — powiedział nie bez satysfakcji.

Sprowadzono mnie do piwnicy, którą już znałam i wepchnięto przez niziutkie — chyba dla krasnoludków — drzwi do czarnej dziury. Zgrzyt zamka i ciemność. Zaczęłam macać wokół siebie. Od razu uderzyłam się w głowę o skośny sufit, jakby sklepienie schodów. Nie było miejsca, żeby zrobić dwa kroki wzdłuż czy wszerz. Nie było żadnego sprzętu, nawet kibla. Przykucnęłam, starałam się zasnąć. Trzęsłam się z zimna. Siedziałam właściwie w ekskrementach tych, co byli tu przede mną. Nad ranem siedziałam już i we własnych. Łatwo powiedzieć: mijają godziny, ale kiedy nie można się ruszyć, nie można spać ani jeść, jest ciemno, zimno i śmierdzi, ta pozornie łagodna tortura staje się trudna do wytrzymania. Już wołałam „loczki” albo „ptaka”.

Słyszac kroki na korytarzu wstałam tak szybko, jak mogłam — wiedziałam już, co czuje kawałek drewna.

— Wychodź! — żyłasta strażniczka z kilkoma orderami na piersi otworzyła drzwi.

— Juuż? — byłam bardzo rozczarowana. — Szkoda. Dopiero mi zaczęło być dobrze.

Bez słowa chwyciła mnie swą łapą jak obcęgami, wyciągnęła na korytarz i z niezwykłą siłą walnęła mnie w żołądek. Na chwilę straciłam przytomność. — Ruszaj się! — szarpnęła mnie za ramię. — Idziemy.

Wprowadziła mnie do jakiegoś gabinetu. — Melduję więźnia, Dziwisz Antoninę, gotową do przesłuchania. — Drżałam z zimna i niewyspania. Bolał mnie stłuczony żołądek.

— Dzień dobry, siadajcie. — Tadeusz Morawski w mundurze porucznika KBW podsunął mi elegancko zwykłe, tapicerskie krzesło. Po maleńkim, wpijającym się w pośladki stołku Kąpielowego czułam się niemal jak na tronie. Na biurku, od mojej strony, stało przygotowane śniadanie — ser, szynka, masło, jajka, miód, świeże bułki. Doleciał mnie zapach prawdziwej kawy. — Proszę bardzo, jedzcie, to dla was.

Ręka sama mi wyskoczyła do przodu, ale się zreflektowałam.

— Nie będę jadła.

— Dlaczego?

— Bo nie.

- Na jedzenie chyba się nie obraziliście?
- Nie jestem głodna.
- Na złość mamie odmrozę sobie uszy, tak? Musicie jeść. I tak już nienajlepiej wyglądacie. Zdrowie chcecie stracić?
- Nie wiadomo, kto kogo przeżyje.
- Rozumiem, że honor honorem, ale postępujecie głupio — przyjmując nawet wasz punkt widzenia. Szybciej opadniecie z sił. Co wam to da? Łatwiej będzie was złamać i zmusić do podpisania zeznań.
- Chyba że tak — stwierdziłam z ulgą i zaczęłam trzęsącymi się rękami obtłukiwać jajko ze skorupki, smarować bułkę masłem. Całe usta miałam pełne śliny.
- Przyglądał mi się jak niegroźnemu, ale dość obrzydliwemu zwierzęciu. Ciekawe, czym go straszili w dzieciństwie? Pewnie ma wstręt do nietoperzy, szczurów i żab. — Zrozumcie, że tu chodzi o bardzo poważną sprawę, o zdradę tajemnic państwowych — zaczął mówić spokojnie, łagodnie jak psychiatra do furia. — Po co się upieracie? Młoda jesteście, całe życie przed wami. Chcecie iść stąd do szpitala czy na cmentarz? Co was tak naprawdę obchodzi ten Olcha? Sama mówiliście w swoich zeznaniach, że tylko raz z nim spaliście. To dla was obcy człowiek. Poza tym drań i sprzedawczyk. Warto cierpieć dla takiego? On by was sprzedał bez skrupułów w try miga. A wy niepożebnie narażacie zdrowie i życie.
- Pyszna bułka. Z której piekarni? Oficerskiej? — spytałam z pełnymi ustami. Jedzenie bardzo mi smakowało. Zapomniałam już, że istnieją na świecie takie rzeczy jak świeże białe pieczywo.
- Jesteście wrogiem komunizmu, prawda?
- Nie zastanawiałam się.
- Ale komunistów chyba nie lubicie?
- Jeżeli są przystojni? Dlaczego nie?
- Olcha jest komunistą, przynajmniej tak twierdzi. Co was obchodzi jakiś komunista? Dla was jeden mniej, jeden więcej...
- Jeżeli już o kogoś ma być mniej, to o ciebie.
- Przestańcie mówić do mnie „ty”! Nie jestem waszym kolegą!
- Szkoda, że jajka są na twardo. Wolałabym po wiedeńsku, w szklance. Poza tym w porządnym lokalu podaje się sól, pieprz. Nie ma też serwetek.
- Posłuchajcie. Chcę z wami porozmawiać uczciwie i rzeczowo. Jak równy z równym. Nie utrudniajcie mi tego.

— Mama mi mówiła, że poruszanie poważnych tematów przy jedzeniu jest niezdrowe. Można dostać niestrawności.

— Zdajecie sobie sprawę ze swojej sytuacji? Jeżeli nie podpiszecie swych zeznań, zostaniecie wykończona fizycznie i psychicznie. To tylko kwestia czasu. Nie wytrzymacie tego. Nikt tego nie może wytrzymać. Natomiast jeżeli zaczniecie współpracować, wykażecie choćby minimum dobrej woli, będziecie traktowani normalnie.

— Dostanę wtedy ciastko?

— Mówię poważnie.

— Ja też. Bardzo lubię słodczy. Dostanę?

— Możecie dostać zezwolenie na „wypiskę”, na paczki z domu, na codzienne spacer, nawet na korzystanie z biblioteki.

— A co tu jest w bibliotece? „Dzikuska” jest? To moja ulubiona książka.

— Więc jak? Odpowiada wam taki układ?

— Bo ja wiem... Jak nie ma „Dzikuski”... A ty co dostaniesz za to? Jeszcze jedną gwiazdkę?

Zerwał się. Był wściekły — cały czas ledwo hamował się, by nie wybuchnąć. — Ja do was serdecznie, po ludzku, a wy sobie żarciki stroicie! Skoro nie chcecie po dobroci, porozmawiacie sobie z majorem Zawadą. On już was odpowiednio potraktuje!

— Oczywiście, że już wolę jęgo. Przynajmniej ma jakiś charakter, mężczyzna z niego, a nie taki wypierdek bez jaj, jak ty.

Krew napłynęła mu do twarzy. Chyba rozważał możliwość przegryzienia mi gardła, ale odłożył to na później. Gwałtownie rzucił się do wyjścia, z rozmachem otworzył drzwi i wałnął nimi w głowę podsłuchującego cały czas Kąpielowego. Wyprężył się na baczność: — Towarzyszu majorze, melduję gotowość więźnia do przesłuchania! — Trzasnął obcasami.

Zawada chwycił się za czoło, skrzywił, ale udając, że nic się nie stało, wszedł do gabinetu. Rzucił z rozmachem teczkę na biurko. — No, idźcie już! Idźcie do cholery! — Morawski trzasnął obcasami, wykonał przepisowe manewry i zniknął z pokoju. Uśmiechnęłam się do siebie. Miałam swoją małą satysfakcję.

— Więc jak? Będziecie zeznawać jak człowiek?

— Na jaki temat?

— Nie udawajcie głupiej. Zostało popełnione przestępstwo. Każdy obywatel ma obowiązek pomagać organom ścigania.

— Jeżeli zostało popełnione, to będę. Oczywiście.

— Poszliście po rozum do głowy. Lepiej późno niż wcale.

— Najlepiej przyłożyć nóż — powiedziała widząc, że ciągle maca powiększający się, siniejący guz.

— Nie zwracajcie mi głowy.

— Albo monetę. Poważnie. Gwarantowany sposób.

Rzucił mi nieufne spojrzenie, ale pogrzebał w teczce i wyjął szczyryk. Rozłożył małe ostrze i przytknął do czoła. — Wasze zeznania mogą mieć ogromne znaczenie dla sprawy. Dzięki wam możemy zdemaskować groźny prawicowo-nacjonalistyczny spisek.

— Olcha nie brał udziału w żadnym spisku.

— Skąd wiecie? Macie dowody?

— A pan ma?

— Więc ja wam trochę ułatwię. Ze spiskiem mamy do czynienia, kiedy na przykład trzy osoby rozmawiają w jednym pokoju, a gdy wchodzi czwarta, przerywają rozmowę. Tamta trójka należy zatem do spisku. Jasne?

— Ciekawe. Co dalej?

— No, więc na pewno słyszeliście jak spiskował z pułkownikami Wroną czy Krysiakiem. To jego najbliżsi przyjaciele. Opowiedzcie mi o tym.

— Kiedy wchodziłam do pokoju, wcale nie przerywali rozmowy.

— Bo wy też należeliście do spisku.

— Ja? Nie wiedziałam. Mam opowiadać dowcipy?

— Dlaczego dowcipy? Pytam poważnie.

— Oni cały czas opowiadali tylko dowcipy. Chce pan posłuchać? Na przykład. Przychodzi baba do lekarza i mówi: panie doktorze, swędzi mnie między palcami u nóg. Proszę zdjąć but. A ona zdejmuję oba. Dlaczego pani zdejmuje oba buty? Bo mnie, panie doktorze, swędzi między dużym palcem lewej nogi i dużym palcem prawej. Śmieszne, nie?

Nie spuszczał ze mnie wzroku jak kot z myszy. Nacisnął dzwonek. Wszedł strażnik. — Odprowadzić do łaźni. Z takich świń jak ty robimy rąbanek! Przerobimy cię na salceson i krwawą kiszkę, ty kurwo jebana! Skończyły się żarty!

W łaźni kapąco leniwie z rur na betonową posadzkę. Drzwi zamknęły się. Nagle spod sufitu trysnęła woda. Odskokczyłam pod ścianę, by się nie zamoczyć. Łało się tak długo i bez przerwy. Odpływ w podłodze był zatkany i poziom wody wolno, lecz nieustannie się podnosił. Było jej już chyba z dziesięć centymetrów. Trzęsąc się z zimna i niewyspania stałam wciśnięta w śliski, wilgotny róg, ale kropelki wody dosięgały mnie i tak. Zęby mi szczękały. Łało się tak i łało z monotonnym szumem i pluskiem. Czas stanął w miejscu, rozciągnął się nieskończenie, zniknął. Minęła godzina, dwie? Może pięć? Byłam jak w letar-

gu. Łydki i uda miałam obrzękłe, zesztywniałe, bolące. Teraz dowiadywałam się, co czuje namakające drewno. Może jednak położyć się w tej wodzie? — pomyślałam. Ale zapalenie płuc wtedy murowane... Jakies głosy na korytarzu... Męski głos, znajomy... Przecież to Kostek! Też go aresztowali! Pewnie nie wie, że jestem tu o krok. — Kostek! Kostek! Jestem tu! — krzyknęłam, ile mi tylko sił starczyło. Przez firankę padających strumyków zobaczyłam otwierające się drzwi, w nich wysokiego mężczyznę. — Kostek! — krzyknęłam jeszcze raz. — Jesteś tam? — No i co? Namysliłaś się? — Próbowałam się poderwać ku niemu, ale stopa uwięzła mi w drewnianej kratce. Drzwi zamknęły się. Zrobiłam ogromny wysiłek, oderwałam stopy od podłogi... Upadłam nagle, woda zachlupotała i to mnie trochę otrzeźwiło. Wstałam z trudem, cała ociekałam wodą... Zaraz, czy tutaj ktoś przed chwilą wchodził? Kostek? Kąpielowy? A może nikogo nie było? Woda sięgała mi już brzucha. Spódnica ssła wodę i stała się ciężka jak zbroja. Znowu usłyszałam głos Kostka. A jednak! Jestem! — chciałam krzyknąć, ale zachrypiałam ledwo dosłyszalnie. Woda podchodziła mi do piersi...

Drzwi otworzyły się nagle. Silna fala wody nagromadzonej w całym pomieszczeniu zbiła z nóg strażników. Upadli i nie mogąc wstać w buchającym wodospadzie taplali się nieporadnie. — Niech to szlag! Zamknijcie krany! Kratka się czymś zapchała! — Wysłałam na korytarz, który był właściwie bystro rwącą rzeczką. Ku mnie brodził jakiś cywil w podwiniętych do kolan spodniach, w ręku trzymał buty. — Co za matoł zalał całe piętro? Gdzie jest hydraulik? — wołał. — W nocy hydraulik? — Nikt się mną nie interesował. Wysłałam sama na schody i przewróciłam się na półpiętrze.

— Ej! — ktoś szarpnął mnie za ramię. — Idziemy.

Był dzień. — Podpiszcie to — usłyszałam. Stałam z trudem, oczy miałam zamknięte. Czułam się jak na pokładzie okrętu. — Słyszycie? Podpiszcie tutaj. — Podprowadził mnie do biurka, podsunął swoje krzesło, w rękę wetknął pióro. — Jak podpiszecie, będziecie mogli wrócić do celi.

Z trudem rozkleiłam powieki. Jakies nieostre, jasne plamy. Dopiero po chwili zobaczyłam wypucowany kamasz, róg portretu na ścianie, gruby splot samodzielnego materiału — kosztowało mnie to masę wysiłku. Kąpielowy był wyświeżony, pachnący. Na wargach miał jeszcze resztkę jajecznicy.

— Podpiszcie. Tam już śniadanie na was czeka.

— Co to jest?

— Mówię, podpiszcie.

- Najpierw spać.
- Potem.
- Najpierw.
- A podpiszecie?
- Potem tak.
- To teraz podpiszcie zobowiązanie.
- Czym?
- Macie w ręku pióro.

— Jakiej marki? Może być tylko Waterman. Innych nie używam. — Byłam nadal ledwo żywa, ale plectenie bzdur jeszcze mi jakoś najłatwiej przychodziło. Nie wiedziałam oczywiście, do czego to doprowadzi. Nie wiedziałam w tym momencie, czy zrobię to, czy nie. Chciałam oddalić moment ostateczny. A nuż coś się wydarzy? Kąpielowy dostanie ataku serca, więzienie runie w gruzy?

— Chcecie jeszcze raz się wykąpać? Mało wam było?

— Najpierw muszą przepchać odpływ. Zalał pan całe więzienie.

— Przestań się zgrywać. Podpisujesz czy nie?

Czułam się strasznie. Miałam dreszcze, głowa mi pulsowała. Marzyłam, żeby skończyło się to jak najszybciej. Kąpielowy był widocznie zdrowszy jak ryba, a więzienie miało silną konstrukcję. Niech się dzieje, co chce. Trudno! Podpiszę! Dotknęłam stalówką papieru — żadnego śladu. — Nie ma atramentu...

— Jest. Wysechł tylko. Trzeba rozpisać.

Próbowałam rozpisać, ale na próżno. Przypadek był po mojej stronie. Kąpielowy z tłumioną wściekłością zaczął przeszukiwać biurko — jedna szuflada, druga, trzecia... — Nie ma, niech to... — W końcu jednak znalazł. — Umaczajcie i podpiszcie.

Zanurzyłam pióro w buteleczce. W tym momencie zakręciło mnie w nosie. Kichnęłam tak potężnie, że aż podskoczyłam na krześle i przy okazji zwałam wszystko z blatu. Atrament wylał się.

— Ty złośliwa dziwko! Co ty wyprawiasz?!

Znowu kichnęłam. I jeszcze raz. Podniósł pióro z podłogi, umoczył w kałuży i wetknął mi w rękę. — Masz. Podpisuj i to natychmiast.

— Stalówka złamała się — powiedziałam. Rzeczywiście, rozdwojony czubek przypominał wąsy jelonka.

— Co za potwór z ciebie? — Miał wzrok szaleńca, któremu odebrano zabawkę. — Dlaczego mi robisz wszystko na złość? Przestań się nade mną znęcać, bo cię zabiję!

— Niech pan sam spróbuje postawić tym choćby jedną literę.
— Wszystko jedno jak! Pisz!
— Będzie brzydko...

— Daję ci trzy minuty czasu! — Był już u kresu wytrzymałości. Zdjął z ręki zegarek i położył przede mną. Patrzyłam, jak atrament podpływa pod zegarek. — Dwie i pół minuty! — Głowa opadła mi i natychmiast zasnęłam.

— Powstań! — obudził mnie szarpnięciem. Wstałam z trudem. Kolana odmawiały mi posłuszeństwa. — Nie podpiszesz? — Milczałam. — Jeszcze 15 sekund! — Wyjął z szuflady pistolet, sprawdził magazynek, czy nabity, zarepetował. — Jeżeli nie podpiszesz, zastrzelę jak wściekłą sukę! Odwróć się.

Stałam twarzą do ściany. Poczułam na karku zimne żelazo. — Ostrzegam. Pięć, cztery, trzy, dwa... — Czekam w strasznym napięciu. Tak do końca nie byłam przecież pewna... Zrobiło mi się ciemno przed oczami, kolana ugięły się pode mną same i osunęłam się na podłogę. — Ach, ty kurwo! Ty kamediantko! — bluznął już zupełnie nad sobą nie panując. — Ty faszystowska szmato, pizdo, prostytutko! Taka jesteś? Od jutra się do ciebie zabierzemy! Będziesz siedziała w łaźni tak długo, aż wyśpiewasz wszystko!

Mój wygląd musiał przerazić Mirę, gdyż wykrzyknęła: — Co oni z tobą zrobili? Gdzie byłeś tyle czasu?

— Kąpałam się w łaźni. Jestem czysta jak łąza — odpowiedziałam i padłam na podłogę. Nawet nie zauważyłam, że w celi jest nowa — trzydziestoparoletnia, pulchna kobieta o surowym wyrazie twarzy i w szyldkretowych okularach.

— Wstań, bo strażnik się będzie wściekał.

Było mi zupełnie obojętne teraz, czy ktoś się będzie wściekał. Mira jednak podniosła mnie siłą, rozebrała z wilgotnego ubrania, owinęła własnym swetrem i posadziła na stołku. — Kochana, zjedz coś — chłopka podsunęła mi chleb z boczkiem i kubek lury. — Jak człowiek nie zje, to sił nie ma. A ty musisz mieć dużo siły.

Zasnęłam na siedząco. Klawisz załomotał w drzwi. — Nie spać tam! — krzyknął. Oczy jednak same mi się zamykały. Powtórzyło się to kilkakrotnie. Mira stanęła przy judaszu, by ostrzec mnie o niebezpieczeństwie. — Ma gorączkę — usłyszałam, że ktoś mówi szeptem. — Może wezwać lekarza? — E, nie przyjdzie. Przychodzą dopiero, jak człowiek jest jedną nogą na tamtym świecie. — Dużo jej nie brakuje. Wyląduje na cmentarzu — powiedziała nowa. — Co ty, paniusiu, tak kraczesz i kraczesz?

Młoda jest, zdrowa. Musi tylko dużo jeść. Jak człowiek ma w sobie zapasy, przetrzyma wszystko...

— Zimno mi...

Poczułam, że ktoś przykrywa mnie drugim kocem. Rozejrzałam się — nowa spała na materacu ułożonym na podłodze. Kostek przyklęknął i przytulił głowę do moich piersi.

— Boję się...

— Nie bój, nie bój...

— Boję się. Zabierz mnie stąd.

— Nigdzie nie musimy iść. Jesteśmy tu bezpieczni — pogłaskał mnie po policzku. — Jesteśmy tu bezpieczni, bo jesteśmy razem. Ty jesteś bezpieczna we mnie, a ja w tobie. To jedyna obrona — lepszej nie ma. Znajdą cię wszędzie, tylko nie tu. Nie wpuszczę ich do siebie, a ty nie pozwól, żeby weszli do ciebie. Tylko nikomu nie mów, bo będą próbowali się włamać.

— Wiesz, mam wrażenie, że mi się to wszystko śni. Tyle razy mi się wydawało, że uciekam, że wpadam do domu, ty czekasz na mnie, stukasz na maszynie... — powiedziałam. Kostek położył się obok na naszym starym, wąskim tapczanie. Zamiast jednej nogi — cegły. Jego twarz przy mojej. Koło nosa wyskoczyła krosta. — I zawsze budziłam się w więzieniu. Więc teraz chyba też... Ostatnio mi się śniło, że zdradzasz mnie z Dziunią. Żeby się mnie pozbyć zadzwoniłeś do UB. Ale nie zrobiłbyś tego naprawdę, co? Tak tylko mi się śniło... I teraz też się boję, że zaraz się obudzę, wszystko — ty, ja, nasz dom się rozwieje, i znowu się znajdę w tych ohydnych ścianach, usłyszę zgrzyt klucza w zamku, brzęk kibla, wrzaski tego człowieka...

— Może chora jesteś?

— Nie, nie...

— Zrozum, tamto ci się wszystko śniło, tamtego nie ma. Nie obudzisz się, bo przecież teraz nie śpisz...

— A jeżeli się obudzę?

— To nie sen — powtórzył z uśmiechem. — Przecież jestem przy tobie, czujesz mnie chyba. Prawda, że mnie czujesz?

— Oh, tak, czuję cię, czuję cię w sobie tak głęboko, tak dokładnie, jak nigdy dotąd... Jesteś we mnie schowany, aż pod sercem. Nie wpuszczę tam do siebie nikogo innego, choćby był najwspanialszy, najpiękniejszy, bo kocham tylko ciebie... Będę zawsze kochać choćbyś mnie zdradził i porzucił...

— Nigdy cię nie zdradzę, nigdy nie porzucę...

Zbliżyliśmy się do celu... Nagle Kostek znieruchomiał. — Co się stało?

— Mam zakończenie.

— Jakie zakończenie?
— Koniec...
— Chodź, jestem już tak blisko...
— Poczekaj. — Wstał z łóżka, owinał się kołdrą i zasiadł do maszyny. Po chwili wykręcił papier. — Chcesz posłuchać?

*Śnieg był taki ciepły, taki biały,
a noc mroźna z dzwonkami, z szafirem —
i szafiry, i dzwonki wirowały,
potem księżyc przemienił się w lirę
i kot błędny z tej liry ogonem
pieśń wydobył swoim kocim tonem...*

Gdy skończył, z ciemnego kąta pokoju rozległy się oklaski. W fotelu siedział mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem. Cała jego twarz ginęła w cieniu, ale podobny był do Morawskiego. — Brawo — powiedział. — Znakomite. Ja bym jednak ulepszył to i owo. — Wstał, zdjął marynarkę, rozwiązał krawat, zsunął spodnie. Po chwili był już tylko w siatkowej podkoszulce i kapeluszu. Położył się obok mnie. Naciągnęłam na siebie kapę.

— Ale co byś konkretnie zmienił? — zapytał Kostek.

— No, nie bądź taka wstydliva — powiedział mężczyzna. — Sam powinieneś wiedzieć — zwrócił się do Kostka. — Jesteś poetą, czy nie?

— Kostek — powiedziałam prosząco, ciągnąc materiał ku sobie. — Kostek...

Siedział zasępiiony nad maszynopisem. Mężczyzna objął mnie. Próbowałam się wyrwać, ale przytrzymał mnie silnie. Położył mi rękę na ustach. — Nie przeszkadzaj. Nie widzisz, że pracuję?

— Kostek, proszę...

Położył mnie wolno na plecach, wsunął się na mnie, kolanem rozdzielił mi nogi. Przekrzywiłam głowę, spojrzałam na Kostka — uśmiechnął się i pomachał ręką: — Poczekaj. Zaraz przyjdę... — Zaciśnęłam zęby. Mężczyzna zaczął falować na mnie, coraz szybciej, coraz szybciej... Spod jednej nogi łóżka wysunęła się cegła... Wszystko zawaliło się z hukiem...



Długo błądziła po zatłoczonych korytarzach — wszędzie, pod każdymi drzwiami, na półpiętrach, na każdym krześle czekali staruszkowie w paltach, z laskami lub o kulach, kobiety w czerni,

ponurzy młodzieńcy. Płakało dziecko. Grubiutka kobiecina, która siedząc na krześle nie dostawała stopami podłogi, odwinęła z papieru kanapkę, nacięła kromkę w ząbki małym nożykiem i wkładała do ust, żując powoli.

Po godzinie stania w kolejce dotarła wreszcie do okienka. Musiała zgiąć się wpół, by zająrzeć przez maleńki otwór wycięty w szybie. Wsunęła do środka paperek. — Moja matka zmarła. Chciałam prosić o zaliczkę na pogrzeb.

— A pobierała rentę?

— Tak. Inwalidzką.

— Zaliczki pani dać nie możemy. Dopiero po przedstawieniu rachunków zwrócimy pani koszty. Ale nie całość. Tylko do pewnej wysokości.

— Ale ja nie mam w ogóle pieniędzy.

— Niech pani od kogoś pożycz.

— Nie mam od kogo pożyczyć.

— Co, matka nie miała jakichś przyjaciół, rodziny? Niech pani nie zawraca głowy.

— Tak się złożyło.

— Niech pani weźmie u siebie w pracy pożyczkę. Są specjalne zasiłki w wypadku śmierci kogoś bliskiego.

— Nie pracuję nigdzie.

— To mąż niech weźmie.

— Mąż też nie może.

— To co ja pani poradzę?

— Proszę pani! — odezwał się głos z kolejki. — Szybciej! Każdy ma sprawę. Już godzinę tu stoję.

Potem w innym biurze. Odsyłano ją z pokoju do pokoju. Trafiała wreszcie do „Wydziału przedszkoli”. — Moja matka kiedyś prowadziła rytmikę w przedszkolu na Pilickiej. Zmarła właśnie i chciałabym uzyskać jakąś pomoc.

Dwie urzędniczki tępo patrzyły w blaty swoich biurzek. Wydawało się, że nic do nich nie dotarło. — Kiedy mamusia prowadziła tę rytmikę? Dawno? — odezwała się w końcu jedna z nich i przełożyła akta z lewej strony na prawą. Bolała ją chyba żąb.

— W latach sześćdziesiątych.

— Kiedy przeszła na emeryturę?

— Na rentę, ze względu na stan zdrowia. Nie pamiętam. Chyba w 71, czy w 72...

— Gdyby nadal była naszym pracownikiem, to co innego. Tymi sprawami zajmuje się ZUS. Niech pani zwróci się do nich.

— W ZUS-ie już byłam. Potrzebuję zaliczki na pogrzeb. Potem to zwrócę. Zwróci właściwie ZUS.

— Naprawdę trafiła pani nie pod ten adres.

— Gdzie tu jest kierownik? — z furią rzuciła się do drzwi.

— Pokój 115. Ale powie pani dokładnie to samo.

Wpadła z impetem do sekretariatu. — Jest kierownik?

Jest. Zajęty.

Nie reagując na okrzyki sekretarki wtargnęła do gabinetu. Młody, elegancki mężczyzna rozparty w fotelu, rozmawiał przez telefon. — Potem zadzwonię. Pa, całuję — odłożył słuchawkę. — Słucham panią.

— Umarła moja matka. Pracowała tu wiele lat. I nikt nie chce mi pomóc. Ani ZUS, ani wy. A ja nie mam pieniędzy na pogrzeb, nie mam od kogo pożyczyć. Co mam robić? Skąd wziąć? Niech mi pan powie!

— Proszę, niech pani spocznie.

— Nie będę siadać! Jak ktoś odszedł na emeryturę, a tym bardziej umarł, macie go gdzieś? Nie wiem, może nawet tak każą przepisy, ale czy to jest w porządku? Jest?

— Przepisów nie zmienimy.

— Ale jest w porządku?

— Ja się z panią zgadzam, że są wyjątkowe sytuacje, kiedy...

— To niech pan działa wbrew przepisom! Co jest ważniejsze — przepisy czy człowiek?

— Oboje wiemy, w jakim kraju żyjemy, ale ani pani, ani ja nic na to nie poradzimy.

— A co pan robi, żeby poradzić?

— A pani?

— Ja? — zawahała się. — Chociażby to, że upominam się o zwykłe ludzkie prawa.

— I co? Dało to kiedyś jakie rezultaty? — uśmiechnął się.

— Zależy z kim rozmawiałam.

Zadzwoniła do drzwi sąsiadki. — Przyszłam po Magdę. Przepraszam, że tak późno, ale sama wiesz...

— Nic nie szkodzi. Świetnie się bawili z Adasiem. Magda! Mama po ciebie przyszła!

— Mogę wejść na chwilę? Mam jeszcze sprawę...

— Wchodź. Ja też mam do ciebie sprawę.

— Tak? Jaką?

— Wiem, że masz teraz wydatki, ale nie mogłabyś nam pożyczyć z pięć tysięcy?

— Pięć tysięcy?

— Krzysztof czeka na forszę za zleceniówkę, za jakiś tydzień na pewno oddamy. A ty co do mnie miałaś?

— To już nieaktualne. Naprawdę, nie mam. Przykro mi. Chodź, Magda, idziemy — przytuliła czteroletnią szczupłą blondyneczkę do nogi. — Dziękuję za opiekę.

Wchodziły na wyższe piętro tego samego bloku.

— Mama, kiedy pojedziemy do babci? — zapytało dziecko.

— Babci już nie ma.

— Jak to nie ma?

— Była i nie ma. Widziałaś, co się dzieje ze śniegiem. Najpierw jest, a potem go nie ma.

— Ale po śniegu zostaje woda.

— Nie nudź.

Weszły do niewielkiego mieszkania, wypełnionego od podłogi do sufitu książkami. Na stole kuchennym, między chlebem, otwartą puszką konserw i torbą mąki stała maszyna do pisania. Małgorzata odsunęła jedzenie i wkręciła arkusz matrycy białkowej. — No, Magda. Idź robić siusiu i spać. Późno. Ja mam robotę.

— Mama, mnie się nie chce — wgramoliła się jej na kolana.

— Mam dużo pracy. Jutro muszę oddać.

— Tak dawno mi nie robiłaś cha-cha...

— Magdziu, proszę...

Ale za chwilę już obie chichotały od łachotek.



— Wstawaj. Apel.

— Jeść...

— Mówiłam, młoda jest, silna — powiedziała chłopka. — Jak kto głodny, znaczy się, zdrowy. Jedz, paniusiu, ile wlezie, na zapas. — Położyła przede mną chleb, kawałek kiełbasy. Pogrzebała w swej pryczy i wyciągnęła jeszcze cebulę. Ale już w sąsiedniej celi otwarto drzwi.

Po apelu nowa przedstawiła mi się: — Witkowska jestem. Słyszałam co nieco o waszej sprawie. Kto was przesłuchuje? Major Zawada? Nazywają go też „Kąpielowy”.

— Chyba on.

— Przyznałyście się?

— Ja byłam jedna.

— Przepraszam, stare przyzwyczajenie. Przyznała się pani do czegoś?

— Nie zawracaj jej, paniusiu, głowy. Niech najpierw zje. Potem będzie gadać — wtrąciła się chłopka.

— Do czego miałam się przyznawać? Nic złego nie zrobiłam.

— Ale podpisała pani zeznanie?

— Mówię przecież, że jestem niewinna.

— To nie ma znaczenia — winna czy niewinna. Ale podpisać musicie.

— Ale przecież... — Jej tępota zaskoczyła mnie. — Dlaczego? Mam potwierdzać jakieś wyssane z palca bzdury? Po co? Przecież ja nic złego nie zrobiłam!

— Stąd nie można wyjść bez winy. To się po prostu nikomu nie może udać.

— Mnie się uda. Ja tu jestem przez pomyłkę...

— Jak to przez pomyłkę? — zmarszczyła brwi.

— No tak, oni mnie po prostu z kimś pomylili. W ogóle coś im się pomyliło, ale prędzej czy później się przecież zorientują, kim jestem naprawdę.

— Władza ludowa nie myli się nigdy — powiedziała surowo. — To wykluczone. Ja wam radzę, przyznajcie się do wszystkiego póki czas.

— Ale do czego, na miłość boską?! — wykrzyknęłam.

— W przeciwnym wypadku mogą was zlikwidować, tak jak zlikwidowali pułkownika Wereszczyńskiego, który odmawiał zeznań, a rodzinie powiedzieli, że umarł na serce.

Ta możliwość też już mi nieraz przysłała do głowy, ale jakie miałam wyjście? — Ja się nie mam do czego przyznać...

— W takim razie musicie sobie wymyślić jakąś winę.

— Ale dlaczego ja mam coś wymyślać? Dlaczego ja mam kłamać? Po co są komu potrzebne jakieś fałszywe zeznania?

— To nie jest wasza sprawa. — Witkowska patrzyła na mnie surowo jak moja nauczycielka łaciny, kiedy nie potrafiłam po-prawnie wyrecytować koniugacji czasownika. — Musicie zrozumieć i przyjąć to za pewnik, że władza wie, co robi. Musicie zrozumieć, że toczy się teraz ostra walka klasowa i że wróg czai się wszędzie, nawet tam, gdzie nikt się nie spodziewa. I dlatego musimy być czujni. Musimy badać każdy przypadek. I każda metoda walki, jeżeli prowadzi do zwycięstwa, jest dobra. Każda. To właśnie musicie zrozumieć...

— No, no... ale... — nie mogłam wytrzymać i przerwałam jej ostro. — Ja tu siedzę w więzieniu zupełnie niewinnie! Co mnie to wszystko obchodzi? Jakaś walka klasowa! Co mnie to obchodzi?!

— Słuchajcie — położyła mi rękę na ramieniu — zawsze tak nie będzie. Za pięć, dziesięć lat, kiedy pokonamy już wszystkich wrogów, nasze metody się zmienią. Wtedy będzie zupełnie inaczej. Chyba chciałobyście, żeby wasze dzieci żyły w innym, sprawiedliwym, bezpiecznym świecie. A tego bez ofiar nie można osiągnąć, po prostu nie można...

Patrzyłam na nią ze zgrozą. — Jezu... i pani, pani zgodziła się być taką ofiarą? Niewinnie siedzieć w więzieniu, po to, żeby kiedyś...

Odwrociła się ode mnie, stanęła przy oknie. Milczała chwilę. Potem powiedziała cicho: — Ja jestem szpiegiem amerykańskim.

Poczułam na krzyżu zimny strumyczek, a w piersiach zrobiło mi się dla odmiany gorąco. Ostrożnie podeszłam do niej. — Prawdziwym szpiegiem? — spytałam szeptem.

Spojrzała na mnie. Oczekiwałam łez, przygnębienia. Tymczasem Witkowska patrzyła na mnie spokojnie, jasno, jakby z dumą. — Ale nie subiektywnie — oznajmiła spokojnie. — Ja całe życie, zawsze, po prostu zawsze, byłam komunistką. I jestem nadal. Ja jestem szpiegiem obiektywnie. I udowodniono mi to zresztą. Przyznałam się natychmiast...

— Ale ja nie rozumiem... Co to znaczy, subiektywnie...

— Wy tłumaczę wam. To było tak. Towarzysze z Komitetu Centralnego polecieli mi, żebym obwiozła po Polsce pewnego Amerykanina. Nazywał się Noel Field i znany był w międzynarodowym ruchu komunistycznym jako oddany, wierny towarzysz. Walczył w Hiszpanii, w czasie wojny pomagał ukrywającym się komunistom w Szwajcarii... Pokazywałam mu wszystko: budujące się kopalnie, huty, lotniska, pokazywałam, co chciał. Okazało się jednak, że się maskował, że wszystkie te informacje przekazywał do Waszyngtonu, że od lat był na usługach amerykańskiego wywiadu. I ja mu w tym pomagałam...

— Ale... ale przecież nie robiła pani tego specjalnie! Pani nie wiedziała, że on donosi! — wykrzyknęłam.

— Właśnie mówię — tłumaczyła cierpliwie. — Subiektywnie nie jestem szpiegiem, ale obiektywnie wykonywałam szpiegowską robotę i muszę ponieść za to karę.

Odwrociła się znowu do okna i nie zdradzała ochoty na dalszą rozmowę. Ja też się odwróciłam i przycupnęłam w kącie. Intensywnie myślałam o tym, co usłyszałam. Nie wszystko było dla mnie jasne. Instynktownie jednak zaczęłam od tego momentu unikać Witkowskiej. Nabrałam przekonania, że jest prowokatorką i donosicielką, naślaną przez Kąpielowego. Niczym się w po-

gładach nie różnili... Raz postawiła na moim stołku kubek. Chciałam usiąść. Bez słowa go zrzuciłam na ziemię.

— Przepraszam — powiedziała.

Któregoś dnia Mira wróciła z przesłuchania zielona, roztrzęsiona. Ostatnio wzywali ją dość często. Bezradnie, jak manekin, usiadła. Nie chciała ani jeść, ani pić. — Zostawmy ją na razie — powiedziała Witkowska. Mira przesiedziała w milczeniu cały dzień, całą noc przeleżała z otwartymi oczami.

— Mira — szepnęłam. — Powiedz coś w końcu. Co się stało?

— Zostaw mnie — odwróciła się do ściany.

Wstałam, przykucnęłam przy niej. — Mira. Powiedz. To ci na pewno ulży. — Położyłam jej rękę na ramieniu. — O co cię pytali?

Odepchnęła mnie tak silnie, że aż zatoczyłam się i upadłam pod przeciwną ścianę. Wróciłam na swoją prycę. A więc to tak? Ja mówię jej wszystko, a ona mnie nic? To jest przyjaźń? Po chwili wyczułam, że stoi za mną. Odwróciłam się. Płakała. Chwyciła moją rękę i pocałowała. — Coś ty? Zwariowałaś? — wykrzyknęłam półgłosem, bo nie chciałam, by Witkowska i chłopka dostrzegły tę scenę. Mira objęła mnie mocno. Chwyciłam ją za szyję i przyciągnęłam do siebie. Głaskała mnie po włosach i twarzy. Jej ręka natrafiła na moją pierś, wsunęła się pod koc, zsunęła niżej, na brzuch, między nogi... Gorąco zalało mnie całą. Pieściła mnie spokojnie i czule. Niemal natychmiast wyprężyłam się w gwałtownym dreszczu i zaraz zwinęłam się w kłębek. Zaciśnęłam zęby, by nie krzyczeć. Rozkosz odchodziła powoli, uspokajałam się. Mira przytuliła się do mojego policzka. Było zupełnie cicho — tylko z obu posłań dobiegało lekkie pochrapywanie śpiących.

Pewnego dnia, gdy weszłam do gabinetu Kąpielowego zobaczyłam siedzącego naprzeciw biurka Janka Garlickiego, dyrektora mojego teatru. Skąd on tutaj? Zauważyłam, że jest zdenerwowany: ruchy miał niepewne, unikał mojego wzroku, wycierał spocone dłonie w spodnie. Był nieogolony. Miał brudną koszulę, buty bez sznurowadeł, nie miał krawata. A więc i jego aresztowano?! Tylko za co? Malwersacja? Bimber pędzony pod sceną? Szpiegostwo na rzecz teatrów zachodnich?

— Przeczytajcie na głos swoje zeznanie — Kąpielowy podał mu arkusz papieru.

— Czy to konieczne, towarzyszu majorze?

— Powiedziałem, przeczytajcie.

Garlicki odchrząknął i po chwili zaczął cichym, niepewnym głosem: — Oświadczam, co następuje: Dziwisz Antoninę poznałem w połowie 1945 roku w Berlinie... — Wydawało się, że zależy mu, abym nic z tego nie usłyszała.

— Głośniej — mruknął Kąpielowy.

— W połowie 1945 roku... Nosiła wtedy jeszcze panieńskie nazwisko Jabłonowska. Została zaangażowana do zespołu artystycznego I Armii Wojska Polskiego, którego byłem wówczas garderobianym i rekwizytorem. Już wtedy zauważyłem, że szuka kontaktów z wyższymi oficerami, zarówno polskimi, jak i radzieckimi. Często rozmawiała z nimi na temat liczebności i lokalizacji jednostek wojskowych, na temat stanu uzbrojenia...

Dalej wynikało z oświadczenia, że wyciągałam te wojskowe tajemnice po to, by je przekazywać łącznikom wywiadów zachodnich, i tak dalej... Bzdura za bzdurą. Nie wierzyłam własnym uszom. Śmiać się czy krzyczeć? Bić go? Kto temu da wiarę? Tego nie przewidziałam w swych najśmielszych podejrzeniach. Garlicki był przecież zwykłym, porządnym facetem. Nigdy nie miałam z nim zatargów, lubiłam go nawet i — wydawało się — on lubił mnie.

Skończył czytać i odłożył papier, jakby go parzył. Zapadła cisza. Bardzo długa cisza. Kąpielowy zapalił „Belwadera”, poczęstował Garlickiego, który przyjął papierosa trzęsącymi się rękami — nie pamiętam, by kiedykolwiek przedtem palił. Siedział jednak miętąc go w palcach, bo Kąpielowy nie podał mu ognia, a on nie śmiał prosić. — No i jak teraz wyglądacie? — zwrócił się do mnie Kąpielowy. — Wszyscy naokoło mówią: białe, a wy nic tylko: czarne, czarne. Po co iść na zaparte? Daleko na tym nie ujedziecie.

— Pozwólcie, towarzyszu majorze. Tonia, posłuchaj. To jedyne wyjście. Przyznaj się. Proszę cię jako twój serdeczny przyjaciel. — Garlicki usiłował mrugać do mnie, albo dostał nerwowego tiku oka. — Wyrok nie będzie duży, najwyżej parę lat. Tak towarzyszu major obiecał. Szybko ci przeleci. Jesteś młoda. Jeszcze wszystko przed tobą.

— Dlaczego to zrobisz? Uwierzyłeś im?

— Musiałem, dla twojego dobra. Naprawdę. Wybacz.

— Co wy tutaj pierdolicie? — wrzasnął Kąpielowy i wałnął pięścią w biurko — był to, jak zauważyłam, jego ulubiony sposób ekspresji. — Co to znaczy, że musieliście dla jej dobra? Czyli sami nie wierzycie w to, co zeznawaliście? Tak? Okłamaliście nas? Jesteście w zмовie? Zaraz to wciągniemy do akt. Jaką rolę pełniliście w tej szajce, co?

— Ależ nie, towarzyszu majorze — Garlicki skulił się, starał się nie istnieć — ja bardzo przepraszam, takie przejęzyczenie, nic nie musiałem, wszystko dobrowolnie, za każde słowo dam sobie rękę uciąć...

Major zadzwonił i pojawił się strażnik. — Do łaźni go! Na dwie doby! — Garlickiego wyprowadzono. Jeszcze dostrzegłam jego wzrok zająca w potrzasku. Przyjaciele mnie opuścili, pomyślałam. Dranie! Nie można się przejmować. Widocznie nie byli prawdziwymi przyjaciółmi. Jest jeszcze Mira. No i Kostek oczywiście. Kocha mnie, czeka na mnie na pewno! Tylko dwoje — za to pewnych.

— Porozmawiajmy wreszcie poważnie, bez tych waszych żarcików. Wiecie, że możemy z wami zrobić wszystko. Dosłownie wszystko. To zeznanie — machnął papierem Garlickiego — z łatwością zaprowadzi was na szubienicę. Każdy sąd was skaze. I nikt się za wami nie ujmie. Nikt. Nawet wasz dawny przyjaciel i zwierzchnik stanął po naszej stronie. Chcecie walczyć z całym światem? Nie dacie rady. Mówię to wam jako doświadczony człowiek. Co wam przyszło z tego uporu? Gdybyście już dawno podpisali zeznanie jako świadek, byłoby po krzyku, a teraz dogrzebaliśmy się nowych faktów, bezpośrednio obciążających już was. Ale daję wam ostatnią szansę: albo podpiszecie zeznanie dotyczące Olchy, albo zabieramy się do waszych sprawek. Co wybieracie?

— Nabrał mnie pan parę razy. Ale teraz się nie dam. Jeżeli sąd ma trochę oleju w głowie, nie skaze mnie tylko na podstawie zeznań jakiegoś byłego rekwizytora z kabaretu! Gdzie są fakty?

— Fakty? Proszę bardzo. Mogę tu sprowadzić co najmniej stu świadków, którzy potwierdzą pod przysięgą, że braliście udział w zbrodniczej próbie zniszczenia garnizonu w Ostródzie przy pomocy artylerii i czołgów.

— Jakiego garnizonu? — chyba nie potrafiłam ukryć zdumienia. — Skąd pan to wie?

— My wszystko wiemy. Temu nie możecie zaprzeczyć.

Dopiero teraz skojarzyłam. — A! Opowiadałam zmyśłone historyjki, wie pan, tak dla żartu, żeby nie było nudno, a ta głupia wiejska baba dała się nabrać. Pan zresztą też.

— Zostały zniszczone urządzenia sanitarne jednostki. Są na to dowody, raporty.

— No, tak. Dół z gównem wyleciał w powietrze. Wielka rzecz.

— Nie ma w tym nic śmiesznego. Latryna jest równie potrzebna wojsku jak karabiny i samoloty. Osłabiliście potencjał

obronny naszej ojczyzny. Czyli działaliście na rzecz imperializmu zachodniego. Za mniejsze przewinienia ludzie szli na szubienicę. No więc jak? Co wybieracie? Nie wyjdziecie stąd, dopóki się nie zdecydujecie. Choćby nawet miało to trwać tydzień. — Odchylił się na kresle, zabębnił palcami po blacie. — Poważnie mówię. Nie wyjdziecie bez podpisania. No proszę — podsunął uprzednio już spreparowane zeznanie — jeszcze nosiło plamy atramentu.

Milczałam. Wykręcił numer na tarczy telefonu. Zupełnie się nie krępując mówił o niezłej zupie ogórkowej i knedlach, które wczoraj zrobiła Janka, zapytał, czy Rysio ma nadal te historie z siusianiem w łóżko... Słuchał, kiwał głową, dziwił się. Potem skarżył się na nadkwasotę i brak przyzwoitego obuwia na rynku.

Tak płynął czas. Ja wierciłam się na stoliku, on załatwiał różne służbowe i prywatne sprawy, wychodził — wtedy w otwartych drzwiach stawał strażnik — po obiedzie beknął kilka razy i dłubał palcem w zębach, ćwierkał, ziewał czytając gazetę. „Kto zasypie dziurę w chodniku?”, udało mi się przeczytać ogromny tytuł na pierwszej stronie „Expressu Wieczornego”. Wchodzili inni oficerowie na pogawędkę. Zgromadziło się tak z pięciu czy sześciu. Stanęli w kółeczku pod zamurowanym oknem, wydumchiwali tumany papierosowego dymu, rzucali nic dla mnie nie znaczące półsłówka, po których niespodziewanie wybuchali śmiechem. Kąpielowy wyjął butelkę wódki, nalał do kieliszków. Jeden z oficerów, gruby, tatusiowaty, odłączył się od stada, podszedł do mnie i przyglądał się z niejakim zainteresowaniem, ale z dystansu, jakby bojąc się, że się pobrudzi. — Niby wygląda do rzeczy — mruknął jak do siebie — a taka wredna pizda. Ja bym ją...

— Trochę uszy ma za bardzo odstające — dorzucił drugi spod okna — to świadczy o wrodzonej tępotcie.

— Cycki też ma pewnie odstające. A o czym to świadczy? — powiedział inny i cała grupa wybuchnęła śmiechem.

— Ty, mała, pokaż cycki!

— Niech się rozbierze.

— Pokaż cipę!

— Zostaw, pewnie śmierdzi jak wychodek.

— Bo ją pierdolili amerykańscy faszyci, nie? Ha, ha...

— To niech się napije z nami!

— Szkoda trunku.

— Co szkoda? Co szkoda? — Łysawy porucznik KBW prze-

łał zawartość swego kieliszka do spluwaczki i podsunął mi pod nos. — No masz, dziecino, napij się. No!

Odsunęłam się. Pozostali zwiertzyli dobrą zabawę. Śmiejąc się i pokrzykując z uciechy wykręcili mi do tyłu ręce, unieruchomili nogi, łsy jak obcęgami ścisnął mi łapą policzki i w akompaniamencie wiwatów i żarcików wlał mi zawartość spluwaczki do ust. Zakrztusiłam się i natychmiast zwymiotowałam opryskując im mundury. — To kurwa! Rzyga! Zostaw ją... Niech to... — Poczułam jeszcze silne uderzenie w głowę...

Ocknęłam się leżąc na podłodze korytarza. Dyżurny podoficer postawił mi przy twarzy pełną miskę. — Jedz — rozkazał. Nie było ani łyżki, ani widelca. Breja była zbyt gęsta, by ją pić i zbyt rzadka, by jeść palcami. Ale byłam głodna jak pies. Mimo wszystko, po jedzeniu byłam tak umazana, że bardziej przypominałam chyba świnię niż psa. Zaprowadzono mnie do ubikacji. Żyłasta strażniczka z orderami stanęła na korytarzu i nie pozwoliła zamknąć drzwi. Nie spuszczała ze mnie oka. Podobno były wypadki samobójstw w więziennych ubikacjach. Ale jak tu popełnić samobójstwo, myślałam, skoro nie ma ani jednego ruchomego przedmiotu.

Gdy wróciłam do gabinetu, za biurkiem siedział Morawski. Chyba był już wieczór.

— No i co? Przeczogli cię za nabicie guza majorowi? — przywitałam go. — Przed otwarciem drzwi trzeba się zawsze upewnić, czy ktoś nie podsłuchuje. Stara, konspiracyjna zasada.

Kazał mi usiąść. — Dziwię się wam. Wydawałoby się — dorosła, rozsądna kobieta. A zachowujecie się jak rozwydrzona pensjonarka. Dziwię się, że tak lekkomyślnie igracie z życiem — powiedział po chwili. — Gdybyście zdawali sobie sprawę, co wam grozi, dawno złożylibyście zeznania.

— Na księdza się kierujesz? Ćwiczysz się w prawieniu kazań?

— Przestańcie do mnie mówić „ty”! Zabraniam! Jeszcze się do was, widzę, odpowiednio nie zabraliśmy! Ale i tak powiecie wszystko! Nie ma takiego, co by nie powiedział tego, czego się od niego żąda. To tylko kwestia metody.

— Jakie ty, gnido jedna, możesz mieć metody? Za małą masz wyobraźnię, żeby mnie do czegośkolwiek zmusić.

— Milczeć! Milczeć! — wałnął teczką o biurko, aż posypały się z niej papiery. Pozbierał szybko, schował. — Jeżeli nie zastosowaliśmy wobec was odpowiednich środków, to tylko dlatego, że jesteście ludźmi!

— Dobrze, że mi o tym mówisz, bo trudno to zauważyć. Myślałam, że jesteście gestapowcami.

Uderzył mnie w twarz. Spadłam ze stołka. — Bezczelna, głupia dziwko! Jesteś zbyt prymitywna, żeby zrozumieć najbar-dziej podstawowe rzeczy! Siedzisz tu sobie jak w pałacu i się wymądrzasz, szydzisz ze wszystkiego! Wiesz, co to jest Gestapo? Wiesz, co to jest imperializm? Co to jest wróg klasowy, z któ-rym toczy my teraz walkę na śmierć i życie? Nie wiesz! Nic cię to nie obchodzi! Grunt to się nażreć i wyspać! To jest twój stosunek do życia! I jeszcze wziąć sobie gacha do łóżka! A ty kim jesteś? Zerem, kompletnym zerem! Głupią śpiewaczką z trzeciorzędnego kabaretu dla pasożytów społecznych! Nie moż-na cię do niczego zmusić? A wiesz, do czego jest zdolny czło-wiek, jakie są granice jego wytrzymałości? Wiesz, co to jest obóz, bunkier, słupek, polewanie wodą na mrozie, śmierć w ko-morze gazowej? Wiesz, co to jest prawdziwy głód? Jadłś kiedyś mózg ludzki?

Wyrzucił to z siebie gwałtownie, chaotycznie. Milczałam zaskoczona jego wybuchem. Chyba nieświadomie dotknęłam ja-kiejś czułej struny. Wyjął papierosa, zapalił. Po namyśle po-częstował i mnie. Przyjęłam.

— Zrozumcie. Wasze zeznanie jest potrzebne, aby zapobiec wielkiej zbrodni, aby już więcej ludzie nie musieli stawać się zwierzętami — powiedział już spokojnie. — Trzeba usunąć z na-szego otoczenia tych, którzy chcą wywołać nową wojnę światową. I o taką stawkę toczy się teraz gra. A wy wyjeżdżacie ze swoimi głupimi, drobnomieszczańskimi zasadami.

— Spać mi się chce.

— Nie pójdziecie spać, dopóki nie podejmiecie jednoznacznej decyzji.

— No to nie pójdę. — Wstałam i podeszłam do okna.

— Siadajcie.

— Nie mogę już siedzieć.

— Siadajcie!

Wróciłam do stołka. Moje ciało zdrętwiało, stopy opuchły jak banie, w krzyżu i pachwinach czułam ból.

— Możecie sobie pochodzić, ale najwyżej pięć minut. — Otworzył termos. Buchnęła para i po pokoju rozszedł się upa-jający zapach czarnej kawy. Nalał do dwóch szklanek, jedną podsunął mnie. — Podpiszcie prędzej, czy później, bo nie macie żadnego powodu, żeby się dalej bronić. Oczywiście lepiej prę-dzej, bo wtedy oszczędzicie zdrowia. Nie stoi za wami nic, co by wam dawało siłę, żadna wielka sprawa. Robicie to tylko z głupiego babskiego uporu, nam na złość. Wydaje się wam pewnie, że jesteście bohaterką? Bohaterem nie zostaje się z bez-

myślności ani z przypadku, ale dzięki wielkiej idei, której się broni. A wy jakie macie idee, jaki program ideowo-polityczny reprezentujecie? Chcecie zginąć? Dobrze, ale w imię czego? Dla kogo? Dla sprzedawczyka i taniego bawidamka? O co walczyć? O nic. Dokładnie o nic. Więc po co walczyć? Zwy ciężają tylko ci, za którymi stoi wielka idea. Ci, którzy idą pod prąd historii, muszą zginąć i nikt ich nie będzie pamiętał, ich groby zrówna się z ziemią. A to my podnosimy kraj z ruiny, my budujemy nowy ustrój, my tworzymy nowego człowieka, nową moralność. Kto nie z nami, ten przeciwko nam — takie mamy hasło. Wrogowie tylko czyhają na nasze błędy i słabości. Gdyby im się udało wykryć u nas jakąś szczelinę, pęknięcie, na tym etapie, kiedy system jest jeszcze młody, nieokrzepły, mogłoby to się okazać fatalne. Nie możemy do tego dopuścić. A wy jesteście właśnie takim naszym słabym punktem, przeżytkiem przeszłości. Jak w pędzącym samochodzie, który pochyla się na wirażu — drgniesz tylko w niewłaściwą stronę — leżysz. Musimy wszyscy być jedną masą. I niech nikt nie waży się drgnąć ani zawahać — to jest śmiertelny wiraż. Nie rozumiecie tego?

O ósmej rano przyszedł klawisz. Miałam nadzieję, że zaprowadzi mnie do celi. Marzyłam już wprost o swojej ukochanej, miłej, przytulnej jak własny dom celi. Jest tam też Mira, czeka na mnie, denerwuje się. Ale nie. Zaprowadzono mnie do ubikacji — w otwartych drzwiach stała strażniczka. Potem śniadanie na podłodze. Dziwiłam się, że w ogóle mi dają jeść. Chodziło jednak o to, by podtrzymując ciało, załamać ducha. Bez jedzenia przesłuchiwany mdleje szybko i nie ma z niego *żadnego* pożytku.

W gabinecie zastałam wypoczętego, świeżutkiego Kąpielowego. Znowu rozpoczęły się groźby, prośby, „loczki” (czy „wiatraczki”, jak kto woli), poszturchiwania. Założył sobie widocznie, że tym razem mnie złamie, bo się nie oszczędzał. Ochrypł aż od krzyku, musiał popić herbatą. Pot ściekał mu z czoła. Wachlował się gazetą. Odpoczywał żrąc bezwstydnie na moich oczach kanapki z szynką, które przygotowała mu widocznie żona. A ja czułam się coraz gorzej. Nie mogłam opanować sennaści, chwilami niemal spadałam ze stołka. Budził mnie wtedy krzykiem, szarpaniem za ramię. Gdy wydawało mu się, że „dojrzałam”, podsuwał cyrograf. — Podpisz i pójdiesz spać — syczył mi do ucha jak Lucyfer.

Zaczęłam śpiewać: — Ej, przeleciał ptaszek, w kalinowy lasek...

Próbował nie zwracać na to uwagi, ale, zdaje się, nie był zbyt muzykalny i śpiew wyraźnie działał mu na nerwy. Zaczął więc znowu telefonować. Mówił o ładnych czeskich butach, które widział w Galluxie, o pewnym krawcu, który zdarł z niego 500 złotych, ale uszył mu zupełnie przyzwoity letni garnitur, martwił się Rysiem, którego trzeba oddać do szpitala na leczenie. Wisieć bolał ząb, nie mogła, biedna, całą noc zmrużyć oka...

— *Ukochany kraj, umiłowany kraj,
ukochane i miasta i wioski.
Ukochany kraj, umiłowany kraj,
ukochany, jedyny, nasz polski...*

— Co mówisz? Nie słyszę! — krzyknął do telefonu. Spiorunował mnie wzrokiem.

— *Cicha woda brzegi rwie,
nie wiesz, nawet, jak i gdzie* —
zaśpiewałam jak mogła najgłośniej.

— Przestań śpiewać! Słyszysz? Przestań, bo ci rozwalę ten telefon na łbie! — Ale ja głos miałam donośny, a repertuar bogaty. — Potem jeszcze zadzwonię — odłożył słuchawkę. Gdy zaczął histerycznie na mnie wrzeszczeć, wymachiwać rękami, zebrałam się w sobie i zaśpiewałam, ile mi sił w płucach starczyło:

— *Bo nie zna nikt metody, by się ustrzec cichej wody...*

Uderzył mnie pięścią w głowę — upadłam na podłogę, ale śpiewałam dalej. Wydawało mi się, że jeżeli przestanę, zrobię wszystko, czego ode mnie w tym momencie zażąda, a potem już po prostu umrę. Śpiewałam więc tak, jakby od tego zależało moje życie. Koło swojej twarzy zobaczyłam kilka par nóg. Poczulałam, że ciągną mnie silne ręce, dwie, albo trzy pary rąk chyba... Próg, korytarz... Krata, zgrzyt zamków... Cela? Nie, głuchy pogłos — łaznia... Nagle coś zwałyło mnie z nóg. Upadłam na betonową posadzkę. Lodowaty bicz wody smagał mnie po całym ciele jak rozżarzony drut. Uniosłam rękę zasłaniając oczy — woda wdierała mi się do nosa, uszu, ust, traciłam od silnych uderzeń przytomność i natychmiast ją odzyskiwałam, zachłystywałam się wodą, myślałam, że utonę... — Podpiszę, podpiszę! — wołałam, ale głos nie mógł się wydostać z gardła — podpiszę...

Nagle wszystko ucichło, woda przestała płynąć... Tylko ciurkanie w kratce odpływu... Jakies głosy na korytarzu, kroki... Ktoś podniósł mnie za równe nogi. — Ty idiotko, kretynko! — usłyszałam głos Morawskiego. Korytarz, schody, znów gabinet — ciągnął mnie jak szmacianą lalkę. Nie mogłam utrzymać się na

stołku, więc zostawił mnie na podłodze. Z ubrania wyciekła obficie woda...

Kąpielowy wszedł do pokoju. — Co wy gadaliście? Nie było żadnego telefonu do mnie.

— Był na pewno. Widocznie odłożyli już słuchawkę.

— Co ta pizda tu robi? Po co ją przywlekliście? Trzeba dać jej nauczkę.

— I tak nic by teraz nie powiedziała. Straciła przytomność. Trzeba ją ocucić i zacząć od nowa.

— Zajmijcie się tym w takim razie. Na mnie już czas. Może zdążyć jeszcze na ósmą do kina, obiecałem żonie. Tylko pamiętajcie: twardo i żadnych względów. I nie zapominajcie, żeby z nią... — zniżył głos. Chwilę mówił szeptem, chrząknął. — Rozumiecie, bo wtedy...

— Tak jest, towarzyszu majorze.

Kroki, trzask zamykanych drzwi, cisza. Usłyszałem po chwili tuż przy sobie głos Morawskiego: — Nie możesz zostać w tym ubraniu. Dostaniesz zapalenia płuc. — Nie mogłam zrobić najmniejszego ruchu, więc turlając mnie jak niemowlę, ściągnął ze mnie przemoczony sweter, bluzkę, stanik, spódnice... Rozebrał do naga, przykrył ciężkim wojskowym płaszczem...

Gdy się obudziłam, siedział na krześle za biurkiem i spał z odchylną do tyłu głową i otwartymi ustami. Jakaś mucha koniecznie chciała wejść mu do gardła. Może chwycić go teraz za to odsłonięte gardło? Rąbnąć go czymś w głowę, przebrać się w jego mundur, przejść obok strażników, chowając twarz w cieniu daszka, a potem za bramą biegiem, wskoczyć do autobusu...

— Która godzina? — spytałam.

Zerwał się, przygłodził szybko włosy, spojrzał na zegarek. — Piąta. Dawno się obudziłaś?

— Piąta rano, czy piąta wieczór?

— Piąta rano. — Otworzył drzwi na korytarz, wyjrzał, zamknął. Uspokoił się nieco.

Spałam zatem siedem godzin. Całe ciało miałam obolałe od leżenia na twardej podłodze, ale sen bardzo mnie wzmocnił. Wstałam — płaszcz zsunął mi się z ramion. Dopiero wtedy spostrzegłam, że jestem naga. Ręce mi podskoczyły same i zasłoniłam piersi i trójkącik między nogami. Ubranie, powieszone na kaloryferze, wyschło zupełnie. Choć raz widział mnie już nagą, ubierałam się teraz pospiesznie, stojąc do niego tyłem. Pocułam zwykły, ludzki wstyd, jak kobieta wobec mężczyzny. A przecież był tylko moim katem... Takie odczucie zdziwiło mnie i zaniepokoiło. Jakoś to trzeba przełamać. Bez pytania

sięgnęłam po jego papierosy.— Powiem majorowi, że mi pozwoliłeś spać. Co ty na to?

— Wyznaczmy zamiast mnie kogoś, kto ci nie pozwoli. — Nalał kawy z termosu i podał mi.

— A z tobą co będzie?

— Nie twoja sprawa.

— Nie rozumiem cię w ogóle.

— Jeszcze wielu rzeczy nie rozumiesz. Wydobywanie zeznań siłą czy podstępem nie ma sensu. Chcę, żebyś przyznała się z pełnym przekonaniem i świadomością, żebyś zrozumiała, na czym polega twoja wina.

— Jaka wina?

— Winą jest chociażby egoizm. Dla spraw natury ogólnej, państwowej czasami trzeba poświęcić interesy prywatne. Lojalność wobec jednostki jest niczym. To burżuazyjny przesąd.

— Dla ciebie. Dla mnie i moich przyjaciół jest dokładnie odwrotnie.

— Dla Miry Szajnert też?

— Dla Miry? Dlaczego o niej mówisz?

— Zastanów się.

— Nie mam... Mira? — Poczułam, że robi mi się gorąco i serce gdzieś ucieka. — Ona powiedziała o tej... o tej latrynie?

— A jak myślisz?

— Poznałam już wasze tricki. Nie dam się nabrać.

— Dlaczego miałbym kłamać? Nie mam w tym żadnego interesu.

— A właśnie, że masz! Bo wiesz, że się z nią zaprzyjaźniłam! Prawdziwej informatorki byś nie sypnął! Jestem pewna! Chcesz mi udowodnić, że wszyscy naokoło to świnię! Że wszyscy mnie zdradzili, więc żebym ja też zdradziła! A to nieprawda! Są tacy, co nigdy nie zdradzają! Nigdy! I Mira do nich należy! Nawet gdyby ich palili na stosie. Nie znasz mojego męża.

— Współczuję ci. Jesteś strasznie naiwna. Wydaje ci się, że wszyscy przyjaciele są szlachetni i bezinteresowni. I dlatego musisz przegrać.

— A ty każdego uważasz za szuja! Sądziś po sobie!

— Nie trzeba zaraz być szują, żeby coś takiego zrobić. Ta Szajnert ma tutaj ojca. Był kiedyś na placówce dyplomatycznej we Włoszech. Jest poważnie chory na serce. Major jej obiecał, że jeżeli będzie informować go o wszystkim, o czym rozmawiacie, lekarz-kardiolog, u którego jej ojciec leczył się przed aresztowaniem, będzie mógł go nadal odwiedzać w więzieniu. Jak widzisz, to nie takie proste.

— Ja bym tak nie postąpiła.

— Ona uważa, że zrobiła coś bardzo szlachetnego. Poświęciła coś dla ratowania swego ojca.

— Ja bym tak nie zrobiła — powtórzyłam już zupełnie bez przekonania. W tej chwili po raz pierwszy od chwili aresztowania zwątpiłam w sens swego uporów. Poczułam się strasznie samotna. Chyba nie dam rady walczyć z całym światem, wszyscy są przeciwko mnie... Major miał rację... Witkowska, Garlicki, Mira... Wszyscy mówili: białe, a mnie się ciągle wydaje, że czarne, czarne... Czyżbym była daltonistką? Czy istnieje ktoś jeszcze, kto przyzna mi rację? Może tylko ktoś, kto jest po tamtej stronie, wolny, kto nie został poddany tej potwornej, ogłupiającej presji... Kostek, tak, on jeden. Na pewno nie uwierzy w te wszystkie bzdury, na pewno podtrzyma mnie na duchu. Ale jest zbyt daleko... Poczułam ogromne zmęczenie, rezygnację...

— Nie ma bezwzględnej uczciwości, zrozum to. Co dla jednego jest uczciwe, dla drugiego jest draństwem. Zresztą ludzie postępują znacznie gorzej niż ci się wydaje! — Podeszedł do okna, popatrzył na czerwone cegły za szybą. — Ty w pewnych warunkach zrobiłabyś to samo. Ci, którzy piszą o obozach, zauważają tylko cierpienie, bohaterstwo, wzloty ducha. O tej drugiej stronie człowieka wolą nie mówić, bo to nie pasuje do ich teorii. A człowiek jest i taki, i taki. Trzeba się z tym pogodzić. Co ty wiesz o ludzkim upodleniu? Żeby przetrwać, człowiek zniesie i robi wszystko — byt to tylko suma energii, dążąca do samozachowania. Wobec śmierci człowiek osiąga absolutną wolność — wyzbywa się moralności. Tam nic nie znaczyło, co znaczyć powinno: ani solidarność, ani współczucie, ani bunt. Na bunt nie było miejsca — każdy odruch karano śmiercią. Nadzieja! By przeżyć, trzeba się było przystosować, zapomnieć o wszystkim prócz kilku żelaznych reguł i nadzieja stawała się beznadziejnością. Ten, kto cierpiał, nie był wcale bohaterem, niczym pozytywnym — był tylko frajerem, pechowcem. Każdy chciał przeżyć. Każdy. I aby przeżyć, trzeba się było zaprzeć przyjaciół, rodziny, zaprzeć się człowieczeństwa. Zachować je można było albo za cenę świętości, albo poddania się — w obu wypadkach za cenę istnienia. — Umilkł na chwilę, zapalił papierosa. — Tak, ludzie zapierali się człowieczeństwa, bo chcieli przeżyć. Czy można winić kogoś za to, że chce przeżyć? To podstawowe ludzkie prawo. A chcąc przeżyć, nie można wybrać dobra — wybiera się tylko między mniejszym i większym złem...

— Bałeś się? — zapytałam po długim milczeniu.

— Tak, bałem się — odpowiedział cicho.

— Ja też się boję.

— Śmierci?

— Nie.

— A czego? Czego innego można się bać?

Nie odpowiadałam. Dobrze wiedziałam, czego się boję, ale nie chciałam, by się dowiedział.

— Wierzysz w Boga? — zapytał.

— Tak... Nie... Nie wiem zresztą...

— To co za diabeł w tobie siedzi, że wytrzymujesz to wszystko?

— Wiesz, w szkole zawsze słabo się uczyłam, kłóciłam się z nauczycielami. Za karę wysłano mnie do Warszawy do internatu. Kiedy Rosjanie weszli do Lwowa, całą moją rodzinę wywieziono i ślad po nich zaginął. Ja ocalałam... Ocalałam za karę... Potem, w czasie Powstania, zakochałam się w takim szczepaku — zawsze nosił błyszczące oficerki, na szyi niemiecki automat... Strasznie mi imponował. Pracowałam w piekarni w tym samym domu, co mieszkaliśmy. Pewnej nocy urwałam się z pracy i poleciałam do niego na barykadę. Zaciągnął mnie do jakiegoś opuszczonego przez lokatorów mieszkania i na przysypanej gruzem sofie zrobił ze mnie kobietę. Było mi cudownie od pierwszego razu... Wracałam z duszą na ramieniu, że majster się będzie wściekał, miałam wyrzuty sumienia, że ja sobie używam, a inni za mnie tyrają. Patrzą, a naszego domu nie ma... Sterta ruin... Kolana aż ugięły się pod mną. Też mogłam zginąć, gdybym została. Po raz drugi przekonałam się, że trzeba robić głupstwa, mieć kaprysy, a rozsądek, posłuszeństwo i pracowitość wcale nie muszą być nagrodzone. I chyba tylko w to jedno wierzę.

Podczas „zmiany” Kąpielowego czułam się fatalnie. Kilka godzin snu i kawa przestały działać. Byłam zdrętwiata, obojętna, nieczuła niemal na ból. Głos majora prawie do mnie nie docierał. Słyszałam krzyk z dużej odległości, widziałam zamgloną, błyszczącą twarz i było mi wszystko jedno. Był duży ruch tego dnia — ciągle wchodził i wychodził Morawski, inni oficerowie, strażnicy. Drzwi były cały czas otwarte. W perspektywie korytarza szli jacyś ludzie. Rozlegały się wołania, okrzyki. Słyszałam słowa padające z sufitu, spod podłogi, gdzieś z mojego wnętrza: dziwka, kula w łeb, wyrok, koniec wszystkiego, zginiesz zaraz... Wiedziałam, że to rzeczywiście koniec, że dłużej nie wytrzymam — wkrótce stracę przytomność i umrę albo podpiszę wszystko, co mi podsuną. Ale o dziwo — nic nie podsuwano. Kąpielowy albo nie zdawał sobie sprawy z mojego stanu, albo rzeczywiście

nadszedł moment, o którym mówił kiedyś: „będziesz błagać nas na kolanach, żebyśmy ci pozwolili zeznawać, ale wtedy może być za późno”. Wydawało mi się to pretensjonalną brednią, lecz teraz naprawdę bliska byłam błagania go, by dał mi coś do podpisania albo mnie zastrzelił i żeby ten koszmar wreszcie się skończył...

Miałam już to powiedzieć, gdy ktoś szarpnął mnie za ramię. Szłam korytarzem... Szeregi ludzi... Ktoś machał do mnie ręką... Znam jego twarz, ale kto to jest? Nagie kobiety twarzami do ściany... Jedna z nich ruda, odwróciła się — Wybacz — powiedziała, gdy ją mijałam... Inna wetknęła mi w rękę kawał chleba i przeżegnała znakiem krzyża... — Dalej! Ruszać się! — Pokrzykiwania strażników, tupot nóg na żelaznych schodach... Przechodziłam przez tłum nagich ludzi w piwnicy... Strażnicy upychali ich w komorach, odkręcali wielkie zawory przy drzwiach. Rozlegał się syk i para buchała wielkimi kłębami... Wepchnięto mnie do białej, rozżarzonej dziury. Woda uderzyła mnie w twarz, zwałała na podłogę. Wstałam, obijałam się o ściany, przewracałam znowu, zachłystywałam się wodą, pianą, prąd mnie gdzieś unosił, z góry padał deszcz... — Trzymaj się, trzymaj się, bo zginiesz! — ktoś krzyknął. Przez strumienie siekących igieł wyciągnął mnie na korytarz pełen ludzi i zaczął przepychać się do wyjścia... — Boję się! Boję... — mówiłam. Schody pełne ciał, kaskadami spada woda, bucha para, jednostajne wycie z tysiąca piersi, pędzący ku nam obłąkany tłum. Pękają drzwi i wywala się zza nich z rykiem zielona fala wody, zbija nas z nóg, prąd unosi nas, zmyka schodami gdzieś w dół, do ścieku... — To sen, to sen... — Żaden sen! — krzyczał mi na ucho — obudź się, obudź...

Zobaczyłam nad sobą twarz strażniczki. — Wstawaj! — Próbowałam się unieść, ale nie mogłam. Podniosła mnie jak worek kartofli i wyciągnęła na pusty i cichy korytarz.

— Gdzie są tamci? Co się z nimi stało?

— Stój! — popchnęła mnie pod ścianę. Lekko uderzyła mnie w twarz. — Obudź się!

Woda ściekała ze mnie strugami. Wieki minęły. Na schodach rozległ się hałas i krzyki. Dwóch strażników ciągnęło wiążącego się, wierzgającego mężczyznę w koszuli i kałesonach... Znałam tę twarz... Krzyczał: — Nie zabijajcie mnie! Błagam! Nie zabijajcie... — Jego silna, szeroka twarz była mokra od potu — a może łez? Wprowadzono go do łaźni. Wszedł tam też oficer w mundurze i czapce z paskiem pod brodą. Po kilku se-

kundach rozległy się dwa strzały. Poczułam jakby dwie kule przeszły przez moje ciało. To już drugi...

Otworzyły się drzwi i oficer wyszedł z pistoletem w rękę. — Ruszaj się! — krzyknęła strażniczka i popchnęła mnie. Na mokrej betonowej podłodze leżał mężczyzna w kałuży krwi. Strumyczek ciekł z jego głowy prosto do kratki odpływowej... Oficer zarepetował pistolet i wycelował w moją głowę. To koniec, pomyślałam. Koniec wszystkiego. Jednak nie żartowali. Naprawdę zabijają ludzi w tych piwnicach. Nareszcie koniec koszmaru. A może to dalszy ciąg snu? To na pewno sen — obudzę się, gdy rewolwer wystrzeli, pomyślałam szybko jak zakłęcie. Widziałam tuż przy swojej twarzy niebieskie, z długimi, niemal kobiecymi rzęsami oczy młodego oficera, palec napinający się na spuście... Kiedy się zdecyduje? Kiedy się obudzę? Żeby już...

— Macie ostatnią szansę — odezwał się zza jego pleców głos Kąpielowego. — Jeżeli teraz się nie zdecydujecie, wyrok będzie wykonany.

— N-n-nie w-w-wiem — wyjąkałam — co m-m-mam z-z-zdecydować?

— Podpiszecie, że Olcha był szpiegiem?

— T-t-to jja bbbylałam szpiegiem, o-o-on jjest n-n-niewinny — wydzwoniłam zębami.

Nagle wyskoczył Morawski, szarpnął mnie za ramię. — Przyznajesz się? Przyznajesz się? Odpowiedz!

— D-d-do czego?

— Czy przyznajesz się do winy? Czy czujesz się winna?

Nie mogąc wydobyć głosu, pokiwałam głową.

— Nie kłam! Wiem, że myślisz co innego!

— O-o-on jest niewinny...

— Kłamiesz! Masz mówić prawdę!

— Co mam mówić?

— Prawdę!

— Mówię...

— To nie jest prawda!

— A c-c-co?

— Mów tylko to, co naprawdę myślisz.

— Nie wiem...

— Czy czujesz się winna?

— Tak...

— Udajesz!

— Nie udaję...

— Udajesz! — wrzeszczał mi prosto w twarz.

— T-t-tak, udaję... — odpowiedziałam wreszcie.

Opuścił rękę w geście rezygnacji. Zrozumiał, że prawdy nie dojdzie — powtórzę teraz wszystko, co mi każe. W swoim pojęciu próbował mnie ocalić, ocalić duchowo — szczerą wiarą we własną winę i otwarte wyznanie mogło mnie jeszcze uratować przed wiecznym potępieniem historii. Kara, którą ponosi przestępca żałujący fałszywie, idzie na marne — nie jest nawet karą, lecz zemstą. Niepokoiło go, że nie było żadnego sposobu — nawet współczesna psychologia marksistowska takiego nie znała — by stwierdzić, czy winny został przekonany, że postąpił źle, czy tylko udaje dla świętego spokoju. Jeżeli w głębi duszy jest pewien swego nawet w obliczu śmierci, jego przekonanie musi mieć niezwykle silne podstawy. Taki był logiczny wniosek, ale Morawski nie mógł dopuścić myśli, by ktoś poza nim lub jemu podobnym dysponował równie silną wiarą w słuszność swego postępowania. Jakie wartości inne niż te, które znał i stosował w życiu, są godne tak rozpaczliwej obrony? Być może przez sekundę uwierzył, że jestem naprawdę niewinna — również według jego kryteriów — lecz szybko odrzucił tę myśl jako zbyt ryzykowną. Nic już nie rozumiał, czuł się bezradny i zagubiony.

Roześmiałam się niespodziewanie — w tej sytuacji musiało to zabrzmieć niesamowicie. Pomyśleli chyba, że zwariowałam. Ze zgrozą spojrzeli na mnie, potem tam, gdzie ja patrzyłam — trup ruszał się!!! Artyście było widocznie zimno i niewygodnie w jednej pozycji — dyskusja nad jego „zwłokami” przedłużała się, więc przekreślił się na drugi bok. Kąpielowy podskoczył i zaczął go kopać gdzie popadło — ech, ty swołocz, ty bydlę pierdolone, ja cię nauczę... — Trup zajęczał, ale po kilku ciosach butem w głowę i brzuch umilkł, przestał się ruszać. Wypłynęła z niego prawdziwa krew i zmieszała się ze sztuczną. Może z tamtym, którego kiedyś mijałam na schodach było to samo? Bluff, żeby mnie wystraszyć? Śmiałam się coraz głośniejszym głosem, nie mogłam się uspokoić — upadłam na podłogę obok niego i wijąc się, skręcając, zarykiwałam się histerycznie, kwiczałam jak zarzynane prosię. Strażnicy zawlekli mnie na górę.

Cela była pusta — wszystkie rzeczy prócz moich zniknęły. Gdy oprzytomniałam, zaczęłam walić w drzwi: — Gdzie jest Mira? Gdzie jest Mira? Mira! Mira! Mira! — Wydawało mi się, że zwariuję bez niej, potrzebowałam jej aż do bólu. Ale nikt nie odpowiadał. Waliłam coraz słabiej, wołałam coraz ciszej, aż osunęłam się na podłogę pod drzwiami na pół już tylko żywa.



Parę dzwonek bez odpowiedzi. Wzięła Magdę za rękę i zaczęły schodzić w dół. Przez okno klatki schodowej zobaczyła zatrzymującą się taksówkę. Wysiadł z niej mężczyzna w jasnym płaszczu. Zapłacił kierowcy i chwycił dwie wielkie walizy.

Spotkali się na półpiętrze. — Małgosia! — wykrzyknął Kostek. — Popatrz! Ale miałaś szczęście! Dopiero w tym momencie przyleciałem... — ucałował ją i małą. — Chodźcie, chodźcie, mam coś dla was...

Weszli do dużego, wygodnego mieszkania — błyszczące parkiety, dywany, stare meble, bibeloty, obrazy na ścianach, wszędzie solidne, dębowe półki na książki z kryształowymi szybami. Na ciemnym, rzeźbionym biurku zdjęcie roześmianej Toni w cylindrze... W poprzek napisano koślawo: „Kochanemu Kostkowi — Tonia”. W srebrnej ramce inne zdjęcie: Kostek — także jeszcze młody — z Woroszylskim, Kruczkowskim i Ważykiem na jakiejś konferencji literatów...

— Upała tam, mówię wam — wszedł do pokoju już bez płaszcza, bez marynarki, krawat rozluźnił i zaczął rozpakowywać walizki. — W Bombaju omal mnie szlag nie trafił. Nie dla mnie taki klimat, za stary jestem. Pot ci ścieka, duszno, nie ma czym oddychać. To dla Magdy — podał dziecku słonia z kolorowych gałganków, wyszywanych cekinami. — Może się czegoś napijecie?

— Nie, dziękuję, tato...

— Co tak stoisz? Jak mama? — zaniepokoił się nagle. — Coś złego?

— Nie żyje.

— Jak to, jak wyjeżdżałem, chcieli ją wypisywać do domu...

— Usiadł bezradnie na sofie wśród kolorowych papierków i ubrań. — Nie żyje... Kiedy to się stało?

— Przedwczoraj.

— Że musiałem właśnie wyjechać! — Zerwał się nagle, otworzył barek, nalał sobie kieliszek byle jakiej wódki, wypił jednym haustem. — Chcesz może?

— Nie.

Magda wybiegła z pokoju, trzymając słonia w objęciach. Z głębi mieszkania rozległ się łoskot, coś się przewaliło.

— Kiedy pogrzeb?

— Nie wiem. Nie mam w ogóle pieniędzy. I od nikogo nie udało mi się pożyczyć.

— Mirek ciągle siedzi?

— To nie ma nic do rzeczy.

— Z czego wy wszyscy żyjecie? Zastanawiałem się wiele razy.

— Nie twoja sprawa.
— Mam chyba prawo wiedzieć, z czego żyjesz?
— Żadnego prawa już do mnie nie masz.
— Dlaczego jesteś taka brutalna i niesympatyczna? Możemy chyba raz porozmawiać normalnie.

— Nie mam ochoty. Przyszłam tylko po pieniądze. Gdybym miała własne, w ogóle bym się do ciebie nie zwróciła. Potrzeba około trzydziestu tysięcy.

— Rozmawiać nie chcesz, ale pieniądze weźmiesz?

— Nie dla siebie.

— Mogę to ja załatwić. Powiedz tylko, gdzie pójść.

— Kiedy umarła, nie było cię tutaj.

Wyjął z walizki ogromny, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy wachlarz z pawich piór. — Patrz, przywiozłem to dla niej... A teraz... — Upuścił wachlarz na podłogę i nie podniósł. — Bez sensu, wszystko bez sensu! — Kopnął nagle walizkę. — Chcesz? — Jeszcze raz napełnił sobie kieliszek.

— Dostanę te pieniądze?

— Czas chyba, żebyśmy się jakoś ze sobą porozumieli. Nie kłóćmy się, zwłaszcza w takiej chwili.

— Nigdy się nie porozumiemy.

— Trochę dobrej woli z obu stron... Dlaczego?

— To nie zależy od dobrej woli.

— A od czego?

— Jesteś szuja. Zwykłą szuja. Dlatego.

— Małgosiu, Małgosiu, nic nie zmańdrzałaś... Ciągłe to samo: czarne-białe, czarne-białe... Upraszczaś wszystko jak zwykle. Życie jest bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Nie sądzę, że masz monopol na prawdę i uczciwość.

— Mam czyste sumienie.

— Sumienie! Oczywiście! To jest najważniejsze. Czyste sumienie, a świat niech się wali w gruzy...

— Nie odpowiada mi sposób, w jaki ty go ratujesz.

— A co ty w ogóle wiesz o mnie? Co ty wiesz o swojej matce? Zawsze interesowałaś się tylko sobą i swoimi sprawami.

— Wiem coś o tobie, bo czytuję twoje pismo. Drukujesz same miernoty, jakichś grafomanów, oportunistów. Dlaczego nie drukujesz Brandysa, Konwickiego, Barańczaka? Boisz się?

— Skąd u ciebie taki ekstremizm? Po co się bawisz w hunwejbina?

— Choćby po to, żeby tacy jak ty mogli uchodzić za umiarkowanych liberałów.

— Jeszcze jedno zmarnowane życie. Potem twoja Magda, potem jej córka, jej wnuczka i tak dalej, bez końca... — Machnął ręką z rezygnacją.

— Może...

— A warto?

— Nie wiem.

Podszedł do biura, wypisał czek — Zrealizuj w PKO na Placu Unii, tam mam konto. Dadzą ci od razu całą sumę. Poczekaj, zapomniałem... Kiedyś słyszałem, że chcesz coś takiego mieć — wyjął z walizki i podał jej wspaniałą torbę z wężowej skóry.

Poczuła się zażenowana. — Nie, dziękuję, nie mogę...

— Specjalnie takiej szukałem.

— Rzeczywiście wspaniała. — Wahała się. — Ale...

— Bierz, bierz — niemal siłą wcisnął jej pod pachę.

Pocałowała go. — Dziękuję. Będę miała w czym nosić bibułę. Magda, idziemy.

Uśmiechnął się lekko. Klepnął ją po policzku. — Dasz mi znać, kiedy pogrzeb. Trzymaj się.

— Mogę tam zajrzeć na chwilę? — Nie czekając na odpowiedź skierowała się w głąb mieszkania. Otworzyła drzwi do małego pokoju — nagie, jasnoszare ściany, wąziutkie łóżko, mały stolik, na którym stało zdjęcie jej i Magdy, zdjęcie Kostka, jeden stołek — i to wszystko... Cela.



Nadeszły tygodnie spokoju. Nic nie zakłócało mojej samotności. Byłam bardzo osłabiona. Schudłam. Mój organizm w minionych miesiącach stracił zapasy tłuszczu przyniesione do więzienia. Zauważyłam, że włosy wypadają mi garściami, na twarzy i piersiach pojawiły się krosty, dziąsła krwawiły. Gdy mnie aresztowano, miałam przy sobie tylko bardzo niewielką sumę pieniędzy, nie mogłam więc nic kupić w więziennym sklepie na „wypiskę”. Paczek w dalszym ciągu nie otrzymywałam. O szóstej rano przynoszono chleb. Był gliniasty, rozpadający się. Łyżką dzieliłam go na trzy kawałki, by mieć na popołudnie i wieczór. Ale nie miałam dość silnej woli — już koło południa zjadałam wszystko. Wieczorami czułam ból pustego żołądka. Jak dziecko ssłam kciuk. Większą część dnia spędzałam patrząc w otępieniu na skrawek nieba nad blindą. Był chyba koniec lata lub nawet początek zimy. Za miarę czasu brałam nie pozycję słońca, ale natężenie i barwę światła — cela z niebieskiej robiła się

biała, żółta, czerwieniała i znowu była granatowa. Ze szpitala po przeciwnej stronie nadal dobiegały rozziewające jęki, ale przyzwyczaiłam się już do tego. O szóstej po południu odbywała się zmiana personelu więziennego. Tuż pod moim oknem była chyba ławka. Słysząc było wesołe głosy strażników i podmacywanych przez nich młodych dziewczyn z kuchni. Zazdrościłam im kontaktu z mężczyznami. Marzyłam o pieszczotach Kostka. Jak mówiłam, na noc nie gaszono w celach światła, więźniowie musieli spać z rękami na wierzchu koca. Co jakiś czas oddziałowy zaglądał przez judasza, by sprawdzić czy wszystko w porządku. Gdy dostrzegł, że więzień jest cały przykryty, budził go. Nauczyłam się pomiędzy jego dwoma obejściami cel szybko wsuwać rękę między nogi i doprowadzać się do krótkiego, mizernego dreszczu. Robiłam to każdej nocy — zasypiałam wtedy od razu.

Po bardzo długim czasie — wydawało się, że minęły lata — wezwano mnie na górę. Morawski kazał mi usiąść, poczęstował papierosem i kawą. Przyglądał mi się, jakby nie wiedząc, czy w ogóle rozpoczynać rozmowę.

— Jak się czujesz? — zapytał obojętnym głosem.

— Dobrze.

— Chyba nie bardzo.

— Co cię to obchodzi?

— Chciałem cię poinformować, że ja całkowicie przejmuję twoją sprawę. — Wzruszyłam tylko ramionami. — Nie robi ci to różnicy? Przeczytaj to — podsunął mi jakiś urzędowy papier.

— Kąpielowego odsunęli za karę, że mu się ze mną nie udało? Pozew? — spojrzałam na trzymany w ręku papier. Nie bardzo rozumiałam, jaki związek ma Franciszek Zawada z pozwem. — Jaki pozew? O co chodzi?

— Twój mąż złożył pozew o rozwód.

— To jakiś nonsens.

— Przeczytałaś?

— Sfałszowaliście to. Znam wasze chwytaki.

Morawski wydawał się bardzo zajęty przekładaniem pióra z jednej kieszeni do drugiej, a także wycieraniem nosa w chustkę. — Domyślałem się, że nie uwierzysz, więc go tu sprowadziłem, żeby mógł ci to powiedzieć osobiście. Wcale nie musisz się z nim widzieć, jeżeli nie chcesz — dodał szybko widząc, że sztywnieję.

Tego już nie mogłam pojąć zupełnie — Kostek tutaj!? Tu, o parę metrów ode mnie? Po tylu miesiącach niewidzenia? — To niemożliwe. On by tego nie zrobił z własnej woli. Zmusiliście go tak jak Garlickiego.

Zadzwonił i po chwili strażnik sprowadził mnie w dół. Podziemnym korytarzem przeszliśmy do innego budynku. Znalazłam się w dużym pokoju, tak zwanym „tramwaju”. Za gęstą siatką przechadzał się strażnik. Jeszcze dalej, za drugą siatką stał... Kostek!

Patrzyliśmy na siebie. Uświadomiłam sobie nagle, jak strasznie wyglądam: proste, niemyte od dawna włosy, krosty na twarzy, ziemista cera, brudne, zniszczone ubranie... On miał na sobie jasny, niemal biały prochowiec, bił od niego na odległość zapach wody kolońskiej, alkoholu, czystości — zapach wolności... W ostatnich czasach tak dużo o nim myślałam, tak często i realistycznie mi się śnił, że teraz, stojący tutaj, prawdziwy, namacalny, wydał się zjawą. Bałam się ruszyć, by nie zniknął, nie rozwiął się jak sen. Z drugiej strony, jeżeli to prawda, co mówił Morawski, wołałabym, żeby był tylko snem...

Mój wygląd musiał go chyba przerazić, bo poruszył się niespokojnie. Był żywy, był tutaj o dwa metry ode mnie! Teraz, gdy zrealizowało się marzenie, nie poczułam nic, żadnego wzruszenia, żadnego drgnienia ciała ani duszy. — Tonia, Tonia, co ty, jak się czujesz? — mówił szybko, głupekowato. — Zdrowa jesteś? Wszystko dobrze? — Z trudem mnie poznawał. Nie byłam już tą samą wesołą, zawsze kpiącą dziewczyną, którą znał, z którą nie tak dawno jeszcze się ożenił. — Tonia, co się z tobą dzieje? Stałam jak manekin, trochę przygarbiona, z bezwładnie opuszczonymi rękami i wyrazem twarzy niedojdy. Nerwowo wyjął papierosa, zapalił. — Głos straciłaś?

— Nie.

Spojrzał na spacerującego między nami strażnika. — Widzisz, to tak jest... Początkowo nie wiedziałem, gdzie jesteś, co się z tobą stało — zaczął w końcu wyjaśnienia. — Myślałem: wypadek, jakieś nieszczęście... Nawet nie wiesz, co przeżywałem wtedy. Byłem bliski obłądu. Któregoś dnia w domu nagle rewizja. Wszystko przewrócili do góry nogami i poszli bez słowa. Pan Stefan z „Kameralnej” przypomniał sobie, że tego dnia, kiedy zniknęłaś, widział cię z dwoma facetami w skórzanych płaszczach. Wsiadaliście do czarnego citroena. Wszystko było jasne. Całymi godzinami wyczekiwałem pod drzwiami gabinetów różnych dostojników, prokuratorów, na UB, ale nikt mi nie chciał nic powiedzieć. Nie chcieli przyjąć dla ciebie ani listu, ani paczki — twierdzili, że nie mają takiego nazwiska w ewidencji. Poruszyłem niebo i ziemię. Na próżno. Wreszcie dostałem wezwanie do MBP na Koszykową. Jakiś młody oficer wyjaśnił mi, że zostałam aresztowana pod zarzutem szpiegostwa. Ty szpiegiem?

Dywersantką? To brzmiało jak koszmarna bajka dla póldiotów — Kostek zniżył głos i zerknął na strażnika. — Ponieważ ciągle nie wierzyłem, pokazał mi twoje zeznania z twoim własnoręcznym podpisem. Oczywiście z nich też nic nie wynikało — przynajmniej dla mnie — ale otworzyły mi się oczy na co innego. Jaki ja byłem głupi! Okłamywałeś mnie tyle czasu! Byłaś kochanką tego Olchy, spałaś z tym bałwanem, z tą pokraką Witusiem Lemańskim... Nie mówiąc o twoich wcześniejszych przygodach, o których też nie wiedziałem. Rozumiesz, jaki to był dla mnie cios? Moja żona kochanką jakichś nędznych kreatur! Jak mogłaś w ogóle coś takiego zrobić? Tak mnie upokorzyć przed ludźmi! Temu oficerowi w oczy nie śmiałem spojrzeć. Wydawało się, że mnie kochasz, że jesteś ze mną szczęśliwa. A ty pieprzyłaś się z kim popadnie! Na zimno, cynicznie, jak kurwa szłaś ode mnie do innych, jeszcze ciepła od nich kładłaś się ze mną do łóżka... To jest wstrętne! Ohydne! Wiedz jedno: nigdy ci nie wybaczę, że tak bezmyślnie zniszczyłaś nasze małżeństwo. Nigdy. Nie chcę cię w ogóle znać. I właściwie przyszedłem tylko po to, żeby ci to powiedzieć, bo rozwód i tak dostanę zaocznie, bez twojej zgody. To wszystko...

Rozdusił papierosa butem i zapalił nowego. Nie odchodził jednak, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia albo liczył, że jakimś cudem udowodni mu czarno na białym, że to wszystko bajki. — No odezwij się — krzyknął zniecierpliwiony. — Powiedz coś wreszcie, do jasnej cholery!

Byłam jak sparaliżowana. — Kostek — powiedziałam cicho — Kostek... — Nic ponad to nie przychodziło mi do głowy. Przecież powinien zrozumieć. W tych słowach było wszystko. Ale on nie chciał zrozumieć. Postać, postać, rzucił papierosa na podłogę i wybiegł.

Nagle wszedł Morawski. Nie musiał pytać, co się stało. Gapiłam się na dymiący się niedopałek jak żaba zahipnotyzowana przez węża, kołysząc się z nogi na nogę i wyłamując sobie palce. Drżałam, jakby polewano mnie lodowatą wodą. — Widzisz — powiedział wreszcie — życie tak się układa. Nie ma ideałów na świecie. Wracaj do celi, przemyśl to sobie. — W jego głosie nie było ani współczucia, ani satysfakcji. Był doskonale obojętny i rzeczowy. A przynajmniej tak się zachowywał. — Acha, byłbym zapomniał. Przynieście to tutaj — powiedział do strażnika w progu. Strażnik wyszedł i po chwili wrócił ze sporą paczką. — To od twojego męża.

Ugięłam się pod ciężarem — ale nie dlatego, że paczka była tak ciężka. W celi rzuciłam ją byle gdzie — wysypały się kieł-

basy, boczek, chleb, owoce, rozplętnęło się żółtko jajka... Obrzucałam wszystkie sprzęty uważnym spojrzeniem — stół, miska, łóżko, koc... Wzięłam koc i zaczęłam drzeć na pasy. Szło mi ciężko — straciłam siły przez te miesiące. Próbowалаm wiązać je w jeden sznur, ale wychodził z tego tylko gruby tłumok, węzły puszczały przy naciągnięciu. Szyba. Ale szyba była za siatką — nawet gdybym ją czymś rozbiła, nie można by wydobyć przez całe oczka ani kawałka. Wzięłam do ręki aluminiową łyżkę. Weszłam w kąt obok kibla i zaczęłam ostrzyć o ścianę. Po chwili w tynku zrobiła się dziura, a brzeg łyżki stał się ledwo o włos. Zaczęłam więc ostrzyć o kibel. Po plecach ciekły mi strużki potu. Może w końcu udałoby mi się to, ale nagle drzwi otworzyły się i weszły dwie strażniczki. Kazały mi się rozebrać do naga i dokonały przeszukania „ginekologicznego”. Obmacaly ubranie, łóżko, zajrzały w każdą szparę. Z jakiejś kryjówki wydobyły ostry jak brzytwa nożyk. A ja nie miałam pojęcia, że coś takiego jest w mojej celi... Widocznie poprzedni lokator zapomniał zabrać... Wyszły w końcu. Okienko w judaszu pozostało otwarte i czujne oko bez przerwy śledziło moje ruchy. Widocznie Morawski domyślił się moich zamiarów...

Z każdą chwilą czułam się coraz słabsza, jakby wizyta Kostka wyssała ze mnie resztki sił. Miałam ciągłe dreszcze. Kolana odmawiały mi posłuszeństwa, chcąc wziąć coś do ręki, macałam jak ślepa. Gdybym miała teraz ten ostry nóż, wątpliwe, czy potrafiłabym go użyć. Położyłam się na podłodze. Strażnik kazał mi wstać, ale nie zareagowałam. Wreszcie dał spokój.

Rano wszedł do celi — po raz pierwszy chyba zrobił coś inaczej niż mu nakazywała instrukcja — na stole stała nieruszona kolacja, po podłodze nadal poniewierały się wiktuały z paczki. Oczywiście miałam rozszerzone gorączką, usta spieczone, oddychałam głośno. Po jakimś czasie pojawił się Morawski z drugim mężczyzną. Ten wziął mnie za puls, odwinął powiekę. Czułam, że mnie przekładają z łóżka na coś innego, że niosą korytarzami, po schodach... Twarz mi owionął świeży powiew, usłyszałam szcęk zamków, odległe i nieznane odgłosy, ktoś obok jęczał monotonnie jak pompowana dętka. Poczułam ukłucie w rękę.

— Ja nie chcę tutaj — poruszyłam ustami, ale nikt mnie nie usłyszał.

— Wygląda mi na zapalenie opon mózgowych — powiedział lekarz do Morawskiego. — Przede wszystkim nie ma w niej woli życia. Dlatego umrze.

— Jest zbyt ważnym świadkiem, żeby mogła umrzeć. Odpowiedzcie za nią głową.

— Ja? Głowę? — lekarz wzruszył ramionami. — Moja głowa i tak już jest stracona.

— Zróbcie wszystko, co możliwe.

— Sam pan wie, że nie mamy tu odpowiednich środków. O morfinę od pół roku nie mogę się doprosić. Dlatego tak wyją.

— Proszę przygotować listę potrzeb. Jeszcze dziś dostarczę wszystko, co niezbędne.

Byłam nieprzytomna parę tygodni — przyplątało się jeszcze zapalenie płuc. Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że leżę na sali z dwudziestoma chyba łózkami. Na niektórych leżały po dwie osoby „na waleta”. Pościel — była pościel! — miała kolor szarawy, ściany brunatnozielonkawy ze złuszcżającą się farbą olejną, zaciekami na suficie, z którego zwisała jedna upstrzona przez muchy żarówka. Jakaś ogolona na zero postać w porwanej, wyszmelcowanej koszuli przyglądała mi się. — Ooooo! — ukazała w uśmiechu czarną jamę z dwoma żółtymi kłami. — Żyjesz! A wszyscy mówili, że się przekręcisz. Silna jesteś. Złego diabli nie wezmą — roześmiała się. Ktoś zajęczał: — Cicho tam! Zamknij się... Przez zakratowane, ale bez blind okno wpadała smuga słońca. Drobiniki kurzu wirowały leniwie.

— Gdzie ja jestem?

— W szpitalu, królewno, w szpitalu.

— W jakim szpitalu?

— Chora byłeś...

— A gdzie jest ten szpital?

— Głupią udajesz? W Warszawie.

— Czy ciągle jestem w... we... w więzieniu? — spytałam, mając nadzieję, że mnie wyśmiej.

— A gdzie masz być? Jasne, że w więzieniu.

— Która godzina?

— Po obiedzie.

— A dzień jaki? Miesiąc?

— Święta za pasem.

— A rok jaki jest?

— Co, jaki rok?

— Który rok? 52?

— Mnie wszystko jedno. I tak mam dożywocie — roześmiała się. Ktoś pod oknem zawtórował ochryple, rozkaszał się, zachłystną flegmą, zajęczał.

— Jak ja wyglądam? — dotknęłam swojej twarzy, włosów.
— Ma pani lustro?

— Królewno, lustro? Żeby sobie żyły otworzyć?

— Chciałam się przejrzeć.

— Ty tak, ale inne tylko czekają, żeby się porzucić. Nie masz co oglądać. Trzy ćwierci do śmierci.

Po dwóch dniach wstałam o własnych siłach i trzymając się łóżek i ściany dotarłam do kibla. Nalałam wody do miski, umyłam twarz. Zamiast drzwi była otwierana krata. Wyjrzałam na korytarz. Akurat przechodził tamtędy stary lekarz-więzień. Przyjrzał mi się. — A, pani Dziwisz... Nie powinna pani jeszcze wstać. Za wcześnie. — Dam sobie radę, nic mi nie będzie — próbowałam się uśmiechnąć. Po drugiej stronie korytarza były otwarte drzwi do gabinetu zabiegowego. Kozetka, parawan, szafka z lekarstwami... Zawróciłam. Człapiąc i czepiając się łóżek ruszyłam w kierunku słońca. Na stołku pod oknem siedziała zupełnie nieruchomo chuda, rozkudłana kobieta. Jej włosy były rude — Mira!!! Mój Boże! — Mira! — krzyknęłam. Gdybym mogła, rzuciłabym się do niej jak błyskawica. Nie poruszyła się. Podpełzałam jak mogłam najszybciej, szurając stopami jak staruszka. Zamknęłam ją w ramionach.

— Mira, kochanie, co się z tobą działo?

— Proszę mnie nie dotykać.

— Myślałam o tobie cały czas, bardzo mi ciebie brakowało...

— Proszę mnie nie dotykać — powtórzyła spokojnie.

— Ale, Mira, przecież to ja!

— Ja wiem, że ty, to ty. — Patrzyła poprzez mnie gdzieś w dal, jak przez powietrze.

— Jak się czujesz? Dolega ci coś?

— Jestem zdrowa. Nic mnie nie boli. Czuję się dobrze. Teraz będę spać — powiedziała mechanicznie i przechyliła się na bok.

— Kochanie, przyjrzyj mi się dobrze. To ja, Tonia. Trochę się chyba zmieniłam, ale poznajesz, prawda?

— Poznając. Teraz będę spać.

— Porozmawiaj ze mną. Chyba nie masz do mnie o nic żalu? Ja do ciebie też nie mam. Wiem, że cię zmusili...

— Jak się obudzę, będę jeść. — Ułożyła się na łóżku w pozycji embriona. Nie było z nią żadnego kontaktu. Traktowała mnie jak zupełnie obcą osobę. Dotknęłam jej twarzy czubkami palców. — Proszę mnie nie dotykać — powtórzyła jak nakręcany automat.

Podczas obchodu chwyciłam lekarza za rękaw. — Panie doktorze, co jest tej dziewczynie, Mirze Szajnert? Jest w strasznym stanie.

— Zna ją pani?

— Siedziałyśmy w jednej celi.

— Głęboka depresja. Tylko tyle mogę powiedzieć.
— Nie wolno panu?
— Jestem rentgenologiem, a nie psychiatrą.
— Mówiła coś? Wie pan, co się stało?
— Przyprowadzili ją z miesiąc temu w stanie szoku. Płotła coś bez składu i ładu, chciała wyskoczyć oknem. Teraz i tak jest lepiej.

— Wyjdzie z tego?

— Nie wiem. Dużo zależy od otoczenia. Ale tu — sama pani widzi...

Zupełnie wstrząśnięta i wykończona fizycznie padłam na łóżko, schowałam twarz w poduszkę. Łysa trąciła mnie konfidencjonalnie. — Masz, tylko nikomu nie pokazuj. — Wetknęła mi coś ukradkiem. Było to lustro.

Następnego dnia Mira też mnie nie poznała. To znaczy, wypowiadała proste, logiczne zdania i chwilami miałam wrażenie, że jest zupełnie zdrowa. Ale nagle mówiła coś, jakby spadła z księżycy. Poza tym spała, jadła normalnie. Siedziała, jak poprzednio, na stołku. Patrzyła gdzieś w przestrzeń, nie zatrzymując na niczym konkretnym wzroku. Opowiadałam jej różne anegdotki, wspominałam nasze szczęśliwe — tak teraz to wyglądało — dni w celi. Reagowała nawet, ale z jakimś minimalnym przesunięciem: nie tego rodzaju uśmiech, nie w tym miejscu. Wydawało mi się, że nadal stosuje nasz szyfr, ale z mylnym kluczem. Raz, gdy pielęgniarka chciała zrobić jej zastrzyk, powiedziała: — Proszę mnie nie dotykać, proszę nie dotykać... — Ale ponieważ nadal była dotykana, wpadła w szal, rzuciła się na siostrę, mnie, która chciałam ją przytrzymać, pogryzła i podrapała. Z jej gardła wydobył się potworny, zwierzęcy ryk, słyszalny zapewne w całym więzieniu. Trzeba było trzech silnych osób, aby ją obezwładnić. Następnego dnia nie pamiętała o niczym.

— Na literę „D”! — zawołała pielęgniarka. Serce podskoczyło mi do gardła: znowu się zaczyna... Weszłam do gabinetu zabiegowego. Morawski zerwał się z kozetki. — Tonia... Jak się masz? — uśmiechnął się. — Dużo lepiej wyglądasz, czy ci już błyszczą... Przyniosłem ci coś do czytania. — Położył na blacie biurka poszarpane, zaczytane tomy.

— „Dzikuska”? Była tutaj? — spojrzałam zdziwiona.

— Jest jeszcze parę innych bibliotek.

Staliśmy naprzeciw siebie w milczeniu.

— Co wy zrobiliście Mirze? Dlaczego jest w tym stanie?

— Nie wiem. Nigdy jej nie przesłuchiwałem.

— Ale wiesz, co inni robią?
— Trudno jednoznacznie określić przyczyny zaburzeń psychicznych. Chyba orientujesz się.
— Wy ją do tego doprowadziliście. Wasze metody.
— Ja, jak wiesz, nigdy nie uważałem, że metody stosowane przez majora Zawadę są dobre...
— Wszystko jedno — on czy ty...
— Byłem zdecydowanie przeciwny jego sposobom prowadzenia śledztwa.

— A co robiłeś, żeby temu zapobiec?
Westchnął. Zapalił papierosa. — Zacząłem pracować w Urzędzie Bezpieczeństwa parę miesięcy przed twoim przybyciem tutaj — w głosie jego zabrzmiała nutka usprawiedliwienia. — Można powiedzieć, że mamy niemal ten sam staż — uśmiechnął się kwaśno. — Kiedy pierwszy raz stanąłem przed Zawadą — miał być moim bezpośrednim przełożonym — od razu wyczułem, że nie zrobiłem na nim dobrego wrażenia. Chyba jak na jego gust zbyt byłem „inteligencki”, zbyt uładowany, chociaż mój ojciec był drwałem, a ja sam, do czasu aresztowania przez gestapo, odbywałem praktykę u stolarza. Nie podobało mu się też, że byłem w Oświęcimiu — uważał, że takim nie można ufać. To prawda, wielu więźniów poszło na współpracę, byli kapo, pełnili rolę wtyczek w obozowej konspiracji, po wojnie zostali agentami amerykańskimi, ale przecież nie wszyscy. Mnie skierowała do pracy tutaj organizacja partyjna na Uniwersytecie, poparł to sam towarzysz Berman. Ufali mi i ufają w dalszym ciągu całkowicie.

— A ty im?
— Są różni ludzie. Dobrzy i źli.
— Ty jesteś pewnie ten dobry, a ja zła.
— Chciałem ci tylko doręczyć te książki — powiedział szybko, jakby obawiając się, że rozmowa zboczy na niebezpieczne tory. — Na salę wołałem nie wchodzić. Za dużo ciekawych oczu.
— A co z moją sprawą? Wypuścicie mnie kiedyś?
— Na razie nie mam żadnych nowych instrukcji w związku z tobą. Ale bądź cierpliwa. Trzymaj się. — Machnął mi ręką i zniknął za drzwiami.

Stałem jeszcze długo w pustym pokoju. A więc to tak! Nie traktował mnie tylko jak więźniarkę, ważnego świadka w śledztwie, na którym chciał zarobić następną gwiazdkę... Dopiero teraz złożyłam do kupy kilka jego poprzednich działań i słów: kawa z termosą, to, że mi pozwalał spać podczas „konwojera”, wydobyć mnie z łaźni fałszywym telefonem do Kąpielowego, teraz te książki... Czy tylko dlatego, że brzydził się, jak twierdził,

wydobywaniem zeznań siłą? Czy tylko dlatego, że chciał doprowadzić mnie do zrozumienia i dobrowolnego wyznania winy? Jego spojrzenia, gdy naga „robiłam ptaka” pod ścianą w piwnicy.. Z drugiej strony niewątpliwie uważał, że w nowym socjalistycznym społeczeństwie takie jednostki jak ja są zbyteczne, wręcz szkodliwe. Byłam więc jego wrogiem, staliśmy po przeciwnych stronach barykady — kto nie z nami, ten przeciwko nam, jak się wyraził. I jedno, i drugie było na pewno szczere. Wyczuwałam w nim jakieś pęknięcie pogłębiające się z dnia na dzień. Z czymś się w sobie szamotał... Kim w ogóle był ten człowiek? Czy miał żonę, rodzinę, dzieci?

Zaczął odwiedzać mnie niemal codziennie pod pretekstem wymiany książek. Jego wizyty były jedynymi jaśniejszymi momentami w strasznej atmosferze szpitalnej. Złapałam się na tym, że czekam na niego, a gdy nie przychodził parę dni, czułam niepokój. Bałam się tego, co się ze mną dzieje — mój prześladowca, mój kat powoli stawał się najbliższą mi osobą! Nikogo poza nim na świecie już nie miałam. Próbowałam zwalczyć to w sobie, przypominałam sobie jego wrzaski i wyzdriska, bicie mnie po twarzy, wyobrażałam sobie, jakim jest draniem, jak się musi płaszczyć przed takimi Kąpielowymi, ale fakt pozostawał faktem: był jedynym, który się o mnie troszczył.

Z Miry nie miałam żadnej pociechy — i chyba ona ze mnie. Czytałam jej przyniesione przez Morawskiego książki, ale nie robiło jej, jak zauważyłam, żadnej różnicy, czy jestem przy niej ja, czy też ktoś inny — była tak samo szczęśliwa lub raczej tak samo nieszczęśliwa. Nie mogłam już znieść tego jej nieobecnego wzroku, tego trzeźwego pozornie głosu. Patrzyłam czasami z dala, jak siedzi nieruchomo i gapi się w okno. Na sali trudno było wytrzymać: ciągłe jęki, bełkotliwe gadania, smród. Owijałam sobie głowę kocem i pochłaniałam ogromne ilości książek. Gdy przeczytałam jedno, dostawałam nowe. Nigdy w życiu tyle nie czytałam.

Pewnego wieczora czytałam właśnie „Ojca Goriot”, gdy strażnik zawołał: — Na literę „D”. — Wprowadził mnie do gabinetu zabiegowego. Na środku pokoju stał Morawski z tajemniczą miną. Jedną rękę trzymał za plecami. Zbliżył się do mnie i nagle podsunął mi pod nos gałąź zielonej choiny. Rozszedł się intensywny zapach lasu, świąt... Wtedy zrozumiałam. — Wigilia!!!

— Wszystkiego najlepszego, tego, czego ci najbardziej brak... Wolności... — powiedział. Wstawił gałązkę do jakiegoś naczynia, z kieszeni wyjął małą gwiazdkę z błyszczącego sreberka i

zawiesił na czubku. Potem wręczył mi maleńki pakuneczek. Rozwinęłam — szminka!

A więc to tak! Gdyby miał rodzinę, kogoś bliskiego, byłby tam teraz z nimi. Zupełnie machinalnie, ze zwykłej wdzięczności i żalu, że ja nie pomyślałam o prezencie dla niego, wzięłam go za rękę. Chwilę trwalismy w tej niezręcznej pozycji. Mógł cofnąć rękę, ale nie zrobił tego. Powoli podniosłam jego dłoń do twarzy. Nie zdawałam sobie sprawy, że z oczu ciekną mi łzy jak woda — zapomniałam już, jak się płacze, nie płakałam od roku... Poczulałam ogromną ulgę — znikło więzienie, wszystko stało się inne, znowu nabrało ludzkiego wymiaru. Jednocześnie usiedliśmy na brudnej ceratowej kozetce, nasze usta zetknęły się. Gorąca kula w piersi pękła nagle, rozlała mi się po całym ciele. Objęłam go gwałtownie, przycisnęłam do siebie. On też przylgnął do mnie ciasno, kurczowo, rozpaczliwie. Potem wszystko stało się samo, naturalnie, jak we śnie...



Kościół był nowoczesny, surowy, dopiero co zbudowany. Filary były z kostropatego betonu. Zagrzemiały elektryczne organy i ołtarz wypłuł — innego słowa nie można użyć — wypłuł przez nisko umieszczony otwór trumnę, która jak żywa wyjechała sama na środek nawy.

Po nabożeństwie ustawiono trumnę na akumulatorowym wózku przed kościołem. Wokół było pustkowienie — nie było ani drzew, ani krzewów — tylko las sterczących zewsząd krzyży z lastrico. Kostek czekał przed wejściem z wiązką z chyba stu czerwonych róż. W kłapie miał czarną wstążeczkę. Uformował się kondukt: przodem szedł kościelny z krzyżem i ksiądz z parasolem, za trumną, jadącą na „Melexie” Małgorzata z Magdą, Kostek i jeszcze kilkanaście osób.

Wjechali w przecznice. Przy wykopanym dole czekali wsparci na łopatach dwaj ludzie. Ksiądz wymruczał modlitwę modulowanym głosem, pokropił obecnych święconą wodą, rzucił na wieko grudę ziemi i odszedł szybko z kościelnym, gdyż zaczęło się śnić. Razem z nim oderwało się od grupki żałobników parę osób. Grabarze przewlekli pod trumną parciane pasy i poczęli opuszczać ją do dołu. Brzeg o coś zaczepił — może o korzeń? — i jeden z grabarzy musiał wejść do dołu, coś tam poprawić, odczepiać. Ale i wtedy coś przeszkadzało. Grabarze kłękali z cicha, deszcz padał coraz gęściej. Wreszcie trumna znalazła się na dnie.

Kostek rzucił w dół swój ogromny czerwony bukiet. Jednocześnie niemal z łoskotem zaczęły spadać na wieko grudy ziemi i kwiaty szybko zostały przysypane.

Małgorzata czuła, że łyzy kręcą się jej w oczach. Ojciec objął ją mocno. Bezwiednie oparła mu głowę na ramieniu. Magda schowała się pod połę jej płaszcza. Wreszcie grabarze uklepalili szpadlami ziemię w niewielki pagórek, wetknęli weń czarną tabliczkę „Śp. Antonina Dziwisz, żyła lat 54, niech spoczywa w pokoju”, ułożyli kwiaty, wieńce, rozprostowali szarfy „kochanej mamie i babci...”, i podeszli, by otrzymać zapłatę. Kostek i Małgorzata ocknęli się w trochę niezręcznej pozycji. Odsunęli się od siebie. Byli już sami — na sąsiednich pomnikach przycupnęły tylko trzy staruszki jak głodne ptaszyska i przyglądały się wszystkiemu z dużym zainteresowaniem. Kostek wyjął portfel, zapłacił, grabarze odeszli. Deszcz siąpił równomiernie.

— Przecież mam parasol — zorientował się nagle i rozpostarł go szybko. I tak byli kompletnie przemoknięci. — Idziemy?

— Zaraz...

— Prawda. Mam coś dla ciebie — wyjął z teczki grubą zaklejoną kopertę.

— Co to jest?

— Zobaczysz. Mama powiedziała, żeby ci to wręczyć, gdyby coś się z nią stało... Chodź, bo zmokniemy.

Rozerwała kopertę. W środku był szkolny brulion, zapisany drobnym, nierównym pismem. — „Ja, Antonina Dziwisz, z domu Jabłonowska, urodziłam się 1 kwietnia 1926 roku we Lwowie z ojca Henryka...” — przeczytała na głos. — Życiorys? „...o swoich przodkach wiem mało, nie zachowały się żadne dokumenty, żadne zdjęcia...”. To dla mnie? A ty to znasz?

Pokiwał głową. — Znam, oczywiście. Chodź, podwiozę was, mam samochód.

— Nie, dziękuję, tato, wolałabym teraz być sama.

— Ale strasznie zmokniecie. Magda się zaziębi. Jak się dostaniesz do domu? Nic nie złapiecie na tym pustkowiu.

— Dam sobie radę. — W tej chwili na jakąkolwiek rozmowę z nim nie miała ochoty.

Stał niezdecydowany. Wreszcie objął ją, pocałował lekko w czoło. — Weź przynajmniej to — wręczył jej parasol i pobiegł ku bramie.



Był już rok 1953. Wróciłam do celi. Nie była to ta sama cela co poprzednio. Gdyby nie regularnie dostarczane porcje je-

dzenia, można by sądzić, że wszyscy o mnie zapomnieli. I było mi z tym dobrze. Nie pragnęłam teraz wolności. Nie miałam do kogo i czego wracać. Czytałam całymi dniami stopy książek, które przynosił oddziałowy. Całkowicie przeniosłam się w świat Pawki Korczagina, Cezarego Baryki, Anny Kareniny. Rzeczywistość wokół straciła znaczenie, znikła jakby.

Oprócz mnie siedziały w tej celi jeszcze dwie inne kobiety. Jedna z nich, płaska jak deska z przodu i z tyłu, z twarzą gołębia, od rana do nocy urządzała modły. Na stoliku ustawiała święty obrazek, klękała przed nim jak przed ołtarzem i terkotała monotonnie. Nie miałam nawet gdzie położyć swoich książek i innych rzeczy, gdyż stół był miejscem świętym. Zwróciłam jej uwagę.

— Wyrzuć wszystkie książki! — wskazała je artretycznym palcem, jak Archanioł Gabriel mieczem, gdy wypędzał z raju Adama i Ewę. — W nich prawdy nie ma. Jedyna prawda to Bóg!

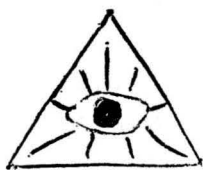
— Być może. — Miałam ochotę trochę się z nią posprzeczać. — Ale nie samą prawdą człowiek żyje. Potrzeba też trochę kłamstwa i draństwa. Życie wtedy jest ciekawsze.

Przeżegnała się szybko. — Strzeż się Szatana!

— A jak go odróżnić od Boga?

— Nie bluźnij! Każdy potrafi odróżnić Dobro od Zła i Boga od Szatana!

— Tak łatwo? — Podniosłam z podłogi ukruszony kawałek tynku i na drzwiach, wokół judasza narysowałam rozchodzące się promienie i trójkąt. Zapukałam i w środku pojawiło się oko. Wyglądało to tak:



Któregoś dnia zwymiotowałam nagle. Początkowo myślałam, że zaszkodziło mi nieświeże jedzenie. Powtórzyło się to następnego dnia i następnego. Nie chciałam dopuścić tej myśli, ale z czasem stało się jasne ponad wszelką wątpliwość — byłam w ciąży!!! Świadomość, że noszę w sobie dziecko obcego mężczyzny, swego prześladowcy — bez względu na to, co ostatnio dla mnie robił — oszołomiła mnie i doprowadziła do rozpacz. Ukrywałam to na razie przed kobietami, z którymi mieszkalam,

ale jak długo można? Co będzie dalej? Popełnić samobójstwo? Nie było to takie łatwe, jak się przekonałam, a przynajmniej nie było żadnego gwarantowanego sposobu. W szpitalu widziałam takie, co połknęły połamane łyżki, agrałki, podcinały sobie żyły o zardzewiały kant kibla. Cierpieć, i to na marne, już nie chciałam. Zresztą zabić siebie — tak, ale co winne dziecko?

Zawołałam strażnika i powiedziałam, że muszę się natychmiast zobaczyć z porucznikiem Morawskim — chcę złożyć ważne zeznanie.

— Chyba z kapitanem Morawskim? — mruknął. A więc jednak dostał gwiazdkę! Czyżby za wygryzienie Kąpielowego? Był gorszą szują, niż myślałam.

Po kilku dniach wezwano mnie do gabinetu, którego nie znałam. Przy stoliku w kącie siedział młody mężczyzna z arkuszem papieru i piórem.

— Podajcie swoje personalia — przywitał mnie Morawski.
— Nazwisko, imię, i tak dalej...

— Muszę z panem porozmawiać w cztery oczy.

— Przecież rozmawiamy, ale najpierw personalia.

— Bez niego — wskazałam głową protokolanta.

— Musimy protokołować wasze zeznanie.

Wyraźnie nie miał ochoty zostać ze mną sam na sam. Obawiał się widocznie, że będę chciała wykorzystać to, co między nami się stało, do swoich celów, błagać go o jakieś względy, których nie był mi w stanie zapewnić, może o zwolnienie? A może się bał, że znowu się rozklei?

— Ale to bardzo ważne.

— O wszystkich ważnych sprawach możecie mówić otwarcie.

— O wszystkich nie mogę.

— Zapewniam was, że możecie. Słucham. — Nadal nie brał pod uwagę, że mogę być aż tak bezczelna.

— Żebyś nie żałował...

Rzucił mi mordercze spojrzenie, ale nie miał wyjścia. Kiwnął głową protokolantowi. — Co ty sobie wyobrażasz? — krzyknął zduszonym głosem, gdy zostaliśmy sami i gdy upewnił się, że nikt nie podsłuchuje. — Za dużo sobie ze mną pozwalasz! To, że tamto się wydarzyło, jeszcze nic nie znaczy! Najlepiej o tym zapomnij!

— Chciałabym, ale nie mogę. Jestem w ciąży.

Zdanie to trafiło go jak piorun z jasnego, pogodnego nieba. Wykonał szereg niepotrzebnych, nieskoordynowanych ruchów, jakby mu jakiś trybik w środku przeskoczył, jeszcze raz otworzył

drzwi, by stwierdzić, że korytarz jest pusty. Mógł się właściwie tego spodziewać, ale jak widać — nie spodziewał się.

— Jesteś pewna?

— Tak.

— Co zamierzasz robić?

— Gdybym była na wolności, zrobiłabym zabieg, mimo, że uważam to za zbrodnię. Nie chcę mieć z tobą dziecka.

To uraziło jego próżność. — Nie jestem chyba gorszy od twoich kochanków.

— A ty co zamierzasz zrobić?

— Kurwa mać! Że to się musiało stać. — Patrzyłam na niego z politowaniem. Był żałosny jak większość mężczyzn w podobnej sytuacji. — Przecież są jakieś kobiece domowe sposoby... — powiedział z nagłą nadzieją.

— Tu i tak się to nie ukryje. Tyle krwi...

— Tak, zacznę pytać skąd, kto jest ojcem... — Dopiero teraz uświadomił sobie nierozwiązywalność problemu.

— Jeżeli tylko o to ci chodzi, daję ci słowo, że nikomu nie powiem, że to od ciebie.

— Zmuszą cię.

— Boisz się, co? — Chwilę jeszcze lubowałam się jego małym strachem. — Nie zmusiliście mnie, żebym wydała Olchę, to i tego nie powiem.

To mu coś przypomniało. Uniósł na mnie wzrok człowieka, który przegrał wszystko na giełdzie. — Olcha został rozstrzelany... I Protakiewicz. I Krysiak, wszyscy... — dokończył już ledwo dosłyszalnie.

— Kiedy?

— W grudniu, kiedy byłeś chora...

Zagryzłam wargę do krwi. Wróble za oknem ćwierkały wesoło. A więc wszystko na marne... Wszystko... Co dał mój upór? — Jesteś draniem. Boże... — powiedziałam cicho, bez złości, bez nienawiści. Jakie znaczenie ma teraz moja nienawiść, upór, upokorzenie, miłość i bohaterstwo? — Maczałeś palce w zamordowaniu niewinnych ludzi...

— Nie miałem na to żadnego wpływu.

Nie odpowiedziałam. Nic nie ma znaczenia. Nawet śmierć...

— Nie wiedziałem nawet, że do tego dojdzie — ciągnął ostrożnie, łagodnie, jakby bojąc się, że zaraz wpadnę w furję. Chciał bardzo mnie przekonać, ale przede wszystkim chciał przekonać siebie. — Było wiele wypadków, że dla postrachu wydawano wyroki śmierci, a potem zamieniano na dożywocie albo 15

lat. Myślałem, że z nimi będzie tak samo. Naprawdę. Skąd mogłem wiedzieć?

— Boże, i to z tobą mam mieć dziecko... — Wstałam i skierowałam się do drzwi. Wyjść, uciec, umrzeć!

— Tonia, poczekaj — chwycił mnie za ramię. — Naprawdę nie chcę, żebyś tak myślała. Uwierz mi, proszę.

— Puść mnie.

— Mylisz się, głęboko się mylisz, jeżeli myślisz...

Usiłowałam mu się wyrwać, rozpoczęła się szarpanina. Udało mi się nacisnąć dzwonek na blacie biurka. Tadeusz odsunął się ode mnie szybko. Wszedł strażnik. Wróciłam do celi.

Ciąża rozwijała się. Gdy brzuch zrobił się widoczny, zwróciło to uwagę otoczenia. Wezwano mnie do komendanta więzienia. Na ścianie jego gabinetu wisiał portret Stalina, przewiązany czarną krepą.

— Co to, Stalin nie żyje? — wykrzyknęłam tak zdumiona, jakby wódz całej postępowej ludzkości miał być naprawdę nieśmiertelny.

— Tak. Towarzysz Stalin zmarł. Cześć jego pamięci. Ale jego dzieło będą kontynuować inni. — Zamyślił się. Spojrzał na mój wystający brzuch. — A do tego jak doszło?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiecie?

— W szpitalu leżałam długi czas nieprzytomna. Widocznie ktoś mnie wtedy zgwałcił.

— Zgwałcił — pokiwał głową. Nie był chyba tego dnia w zbyt wesołym nastroju. — Jest tu paczka dla was. I list.

— Od kogo? Nie mam żadnej rodziny.

Koperta z maszynowo wypisanym adresem, znaczek ze stemplem Warszawy... Gwałtownie wyszarpnęłam kartkę z koperty — też na maszynie...

— Później sobie przeczytacie. Zabierajcie to wszystko — powiedział melancholijnie.

„... Mijają godziny, dni, miesiące, codziennie wstaje słońce, codziennie zachodzi, jem śniadanie, obiad i kolację. Idę do pracy i wracam. To wszystko. Całe moje życie. I codziennie czuję, że wpadam, wsiąkam coraz głębiej jak w lotny piasek...” czytałam siedząc już w swojej celi. „Każdy z nas prowadzi swoje samodzielne boje o różne wielkie i małe sprawy i czasami wydaje mi się, że trzeba było zawczasu odejść z pola walki, zanim się na jakiś tam kompromis ze sobą poszło. Nieraz się sobie przyglądam pełen zdziwienia — a więc to ja jestem? Rozglądam się naokoło — to właśnie nazywa się miłość, to nienawiść, a tam-

to samotność? Ale wiesz, potem, kiedy się na całe swoje życie popatrzy wstecz, to się jednak widzi w nim jakiś sens i ciągłość, trwała wartość. A tą wartością jest — sama wiesz... To dar szatana dany człowiekowi, że może swoje czyny ocenić dopiero wtedy, gdy je popełni...”. Podpisane było jedną literą „T”.

Poród odbył się pod koniec sierpnia 1953 roku w szpitalu więziennym na ogólnej sali wśród wariatek i prostytutek, które gniły na syfilis, niedoszłych samobójczyń. Tadeusz stał na korytarzu i słuchał moich krzyków. Potem przez kratę oglądał wstrząśnięty maleńką, umazaną krwią dziewczynkę — jeszcze nie mógł uwierzyć w fakt swego ojcostwa. Po twarzy obficie płynęły mu łzy.

— Damy jej na imię Małgorzata, dobrze? — wykrztusił przez ściśnięte gardło. — To imię przynosi szczęście, to imię mojej matki...

— Niech pan stąd idzie, do diabła! — krzyknęła pielęgniarka, która wyglądała jak rzeźnik.

Wkrótce przeniesiono mnie do celi matek — siedziały tam kobiety, które albo urodziły w więzieniu, albo zostały aresztowane wkrótce po porodzie. Były to przeważnie kryminalistki. Ale także polityczne. Warunki były straszne, jednak dzieciom przydzielano nieco mleka. Ja dostawałam ciągle paczki — od Tadeusza, oczywiście. Było tego tyle, że aż musiałam rozdawać innym. No i listy. Niemal codziennie dostawałam od niego list.

Urodziny dziecka były dla Tadeusza głębokim przeżyciem. Od tej chwili zaczął dziwnie się zachowywać, przestał niemal dbać o pozory. Po śmierci Stalina wszystko się chwiało, stawało się niepewne. Nie bez znaczenia, zwłaszcza dla jego branży, były rewelacje pułkownika bezpieczeństwa Józefa Światło, który uciekł do Berlina Zachodniego i za pośrednictwem Wolnej Europy zwierzał się ze swej, i nie tylko swej działalności śledczej. Wyczuwalnie zelżał reżim więzienny. Były kąpiele, były spacery. Nikomu nie było w głowie zajmować się takimi głupstwami, jak miłość oficera UB do więźniarki, podczas gdy nadciąga groźna burza. To znaczy, kariera jego była skończona, groziło mu nawet, jak sądzę, aresztowanie, ale nie przejmował się tym. Może zresztą jeszcze wtedy wiadomość o jego wykroczeniu nie zdążyła przeniknąć murów szpitala? Tadeusz był człowiekiem bardzo samotnym — również i jego cała rodzina zginęła w czasie wojny — i nagle ja, ta z drugiej strony barykady oraz jego przypadkowo poczęte dziecko, stałyśmy się jedynymi bliskimi mu istotami.

5 września wieczorem odwiedził mnie niespodziewanie. Wy-

dawało się, że już niczym się nie krępuje, nie dba o nic. Całował Małgosię, tulił, śmiał się, gdy zrobiła coś zabawnego jego zdaniem. Widziałam jednak, że jest napięty jak struna.

— Coś konkretnego się wydarzyło? — spytałam.

— Nie, nie. Nic konkretnego.

— Chcą cię aresztować? Wiedzą już?

— Nie wiem. Może. To teraz nieważne.

— A co jest ważne?

— Ty, ona... — wskazał dziecko.

— Wszystko jeszcze będzie dobrze — próbowałam go pocieszyć. Nic mądrzejszego mi do głowy nie przychodziło. Tak naprawdę nie wiedziałam, co się z nim dzieje, o czym myśli.

— Nie wszystko da się odwrócić... Wiem teraz, że to moja własna wina. Nie byłem ze sobą szczery. Walczyłem z czymś, co mnie pchało w inną stronę. Aż zwalczyłem. Teraz widzę — po co? Sam nie wiem, kim jestem naprawdę: co jest we mnie autentyczne, moje, a co cudze, narzucone, zafałszowane. Jestem jak miazga — rozczapierzył i zwinął parę razy dłoń. — Taki żaden, ni to, ni owo... — Wstał. Przyglądał mi się jakoś dziwnie, trochę tak jak wtedy, gdy to stało się między nami.

— Co się z tobą dzieje?

Odwrócił się i wyszedł szybko, jakby bojąc się zostać dłużej.

6 września rano kobieta, która sprzątała jego niewielkie mieszkanie, otworzyła drzwi swymi kluczami i zastała go w fotelu z rewolwerem w ręku, z roztrzaskaną czaszką — strzelił sobie w usta. Żadnej kartki nie zostawił.

Zwolniona zostałam wiosną 1956 roku. Kiedy spełniło się w końcu to, o czym marzyłam tyle lat, nie czułam właściwie żadnej radości. Nie docierało to do mnie. Wydawało mi się, że tuż za bramą podejdzie do mnie ktoś w skórzanym płaszczu i mnie zawróci albo, że zaraz obudzę się na swojej pryczy. Rzeczywistość była mniej realistyczna niż sen: wszyscy byli jakoś dziwnie poubierani, poruszali się płynnie, lekko, niemal nad ziemią... jaskrawe kolory, inne zapachy. Młodzi, śmiejący się ludzie...

Nie miałam właściwie dokąd pójść. Szłam przed siebie Marszałkowską, przez biały, błyszczący nowością Plac Konstytucji... Ruiny zniknęły... Był piękny, gorący dzień. Ubrana byłam w swe wyliniałe futerko z królików, dziecko owinęłam w jakieś stare swetry i szmaty użyczone przez litościwe kobiety z celi. Ludzie w letnich płaszczach, niektórzy „do figury”, oglądali się za mną, pukali w czoło. Dotarłam do Pałacu Kultury i Nauki.

Usiadłam na obręczy fontanny. Woda wzbijała się wysoko i spadała z głośnym pluskiem do basenu. Małgosia rozglądała się z szeroko rozwartymi oczami — wszystko to dla niej było jeszcze bardziej niezwykle niż dla mnie. Ludzie gapili się na nas. Przyczepił się do mnie rozjątrzony uparty pinczer. Szczekał, szczekał, próbował ugryźć, ale go odpędzałam. Zaczęło się robić zbiegowisko. Jakiś mężczyzna przyglądał mi się szczególnie uporczywie: krążył wokół, zachodził od jednej, potem od drugiej strony.

— Tonia! — wykrzyknął.

— Leszek! — Teraz i ja go poznałam. Dawniej nie nosił ani brody, ani okularów.

Przez całą drogę opowiadał: — Właściwie rozsypaliśmy się. Wiesz, teraz idą nowe czasy, przeczytasz „Po prostu”, zrozumiesz. Masę rzeczy się wydarzyło. Dziunia śpiewa w Operetce Bydgoskiej, wyszła za jakiegoś oficera czy milicjanta. Janek Garlicki umarł w więzieniu. A ja, zaraz zobaczysz, w dalszym ciągu bawie się w teatr, tylko inaczej.

Weszliśmy do niewielkiego mieszkania na piątym piętrze pełnego rekwizytów, plakatów, obrazów abstrakcyjnych, dziwnych przedmiotów. Wysoka kobieta z długimi jak topielica włosami, w czarnym golfie i czarnych spodniach wyłoniła się zza kredensu, dzielącego przedpokój na pół. — Istnienie istnieje, o, szanowni zgromadzeni. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Gdyby bowiem istnienie nie istniało, istniałoby nieistnienie. Cokolwiek zaś istnieje, istnieniem jest i basta — głośno recytowała gestykulując przy tym i robiąc miny.

— Poznajcie się. To jest Ora, nasza aktorka, scenografka, szwagierka logiki, hafciarka intelektu, pozwolisz... A to Tonia, też aktorka, śpiewaczka, tancerka... Tonia przed chwilą wyszła, wiesz... — dodał już normalnym tonem.

Ora przyjrzała mi się. — Witamy — podała mi dłoń. Gdy ścisnęłam ją, odskoczyłam z obrzydzeniem — była to ręka manekina z gumy. Roześmieli się beztrosko jak dzieci. — Witamy w „Teatryku na Dzikim Zachodzie”. Przepraszam, ale muszę malować szcudła. — Zniknęła w łazience.

— Jakie sztuki wystawiacie? — zapytałam, żeby wreszcie coś powiedzieć.

— Piszemy sami z Szymonem — poznasz go potem. Sami gramy, sami robimy dekoracje...

— A gdzie gracie? Macie jakąś salę na mieście?

— Tutaj — wprowadził mnie do pokoju.

Pokój miał sporą wnękę, w niej podwyższenie — scenę. —

Ścisk jest nieprawdopodobny, możesz sobie wyobrazić. Cała Warszawa do nas wali drzwiami i oknami. Ludzie siadają na byle czym, na stole, szafie, leżą... Zaraz, może ty głodna jesteś? — zreflektował się.

— Ja nie, ale mała może by się czegoś napiła. Małgosiu, chcesz pić? — Dziecko w pełnym szoku pełzało wśród gipsowych kościotrupów i masek z papier-maché.

— Już daję, już. — Leszek pobiegł do kuchni. Ja przysiadłam w zniszczonym fotelu. Teatr! Znowu teatr... — A właśnie, Tonia! — krzyknął Leszek gdzieś z głębi. — Czyje to jest dziecko?

— Moje!

— To wiem! I czyje jeszcze? Przecież...

Wesłam do kuchni. W potwornym bałaganie Leszek robił herbatę. — Masz trochę wódki?

— Jasne! Że mi to od razu do głowy nie przyszło! — Rzucił wszystko i wybiegł. Spostrzegłam świeży bochenek chleba. Zupełnie machinalnie chwyciłam go i zaczęłam pożerać łapczywie jak zwierzę. Odwróciłam się — Leszek stał w drzwiach z butelką i patrzył zafascynowany. Zrobiło mi się głupio. Szybko starałam się przełknąć. Nalał do dwóch kieliszków. — No, wypijmy za zdrowy rozsądek! Precz z absurdem logiki, niech żyje sztuka abstrakcyjna!

Występowałam potem w kilku spektaklach „Teatrzyku na Dzikim Zachodzie”, ale sama czułam, że mi nie idzie.

— Nie wkładaj w to tyle uczucia — mówił Leszek na próbach. — Nie graj! To nie jest teatr Stanisławskiego.

— Nie umiem.

— To proste. Nic nie myśl, nie interpretuj.

— To co mam robić?

— Recytuj. Mów mechanicznie, jak automat. O, tak: Czy małe „się” może w ogóle rozumieć, co to jest duże „Się”? Nie rozumie i nie może rozumieć małe dużego... Jasne?

— Ja się do tego nie nadaję...

— Nadajesz, każdy się nadaje. Spróbujmy jeszcze raz.

Po jednym z przedstawień, w którym grałam właśnie Zaimek Bezzwrotny Się, przeciskałam się przez tłum ludzi, kłębiących się w korytarzu, by zajrzeć do śpiącej Małgosi. Nagle ktoś chwycił mnie za ramię — Tonia? — Spojrzałam — Witkowska! W modnych czerniach, koński ogon...

— Nie poznałam pani w tej charakterystyce, dopiero teraz po zdjęciu maski... — Z kształtu całego ciała i twarzy rzeczywi-

cie mało przypominałam człowieka. — Mój mąż — przedstawiła korpulentnego mężczyznę z brodą. — Chodźmy może gdzieś porozmawiać, jeżeli ma pani chwilę czasu. Ale nie o dawnych czasach! — zastrzegła się z uśmiechem. — Lepiej zapomnijmy o tym. Gra pani tutaj? To fantastyczna sprawa! Nie sądziłam, że egzystencjalizm i teatr absurdu tak szybko zapanują u nas korzenie.

— Próbuje trochę. Wie pani, że Mira jest ciężko chora?

— Nie, co jej jest?

— Jak wychodziłam, była w głębokiej depresji. Od dwóch lat. W ogóle nie ma z nią żadnego kontaktu, nikogo nie poznaje.

— Biedna dziewczyna. Bardzo miła była. To rzeczywiście straszne. Ale miałyśmy o tym nie mówić. Przyjmijmy, że przeszłość nie istnieje. Nie ma jej. Tak będzie lepiej. Idą nowe, wspaniałe czasy. Niech mi pani wierzy. Partia nie popełni więcej takich błędów. Nie będzie się nikogo aresztować na podstawie absurdałnych oskarżeń. Takie losy jak nasze już się nie powtórzą. Patrzymy w przód, a nie do tyłu.

— Pewna jest pani? — wzruszyłam ramionami.

— No jak to? Nie słyszała pani o przemówieniu towarzysza Chruszczowa na XX Zjeździe? To chyba wystarczy...

— Nie słyszałam, zresztą...

— Ech, wy wszyscy ludzie bez wiary... — wykrzywiła usta.

— A co można osiągnąć bez wiary? Niech mi pani powie. Nic, po prostu nic.

— Przepraszam, dziecko mi płacze, muszę się nim zająć...

— Dziecko? Kiedy pani zdążyła się dorobić dziecka? To się nazywa szybkość adaptacji! Widzisz, Henryk?

Nie słuchałam już dalej, zniknęłam w tłumie. Nawet gdyby Małgosia nie zapłakała, i tak znalazłabym inny pretekst. Rzeczywiście — czysty absurd, ale nie na scenie, a między nami.

Zdawałam sobie sprawę coraz bardziej, że nie mam słuchu do tych wszystkich nowych idei, którymi pasjonowało się moje otoczenie i że wcześniej czy później będę musiała rozejrzeć się za jakąś zwykłą stałą pracą. U Leszka nie przelewało się — wszystko, co miał, ładował w teatr, zaś dochód z biletów ledwo starczał na herbatę. A Małgosia wyrastała z ubrań coraz szybciej.

Ze świadectwem zwolnienia z więzienia poszłam do Urzędu Pośrednictwa Pracy. — Co pani robiła przez rok? — zapytała urzędniczka.

— Byłam w teatrze.

— W dowodzie nie ma pieczątki.

— Bo to był teatr prywatny.

— Prywatny? Są u nas jeszcze teatry prywatne? Wydawało mi się, że po wojnie zlikwidowali... — Dała mi skierowanie do operetki objazdowej — potrzebowali chórzystek i tancerzek. Długo czekałam pod drzwiami dyrektora. Wreszcie odezwał się brzęczyk telefonu i sekretarka powiedziała do słuchawki: — Pani Dziwisz do pana... Pan dyrektor prosi — wskazała mi drzwi.

Weszłam i na moje powitanie powstał zza biurka — Kąpielowy!!! W jednym ułamku sekundy wróciła cała przeszłość i jak potężna fala wody zwała się na mnie — straciłam przytomność.

Pogotowie odwiozło mnie do domu. Małgosią zajmowała się trochę Ora, trochę Leszek, trochę inni, przewijający się przez mieszkanie dziwni goście. Wiedziałam, że jestem dla nich ciężarem, ale myśl o stanięciu na nogach, wyjściu na zewnątrz, rozmawianiu z ludźmi napawała mnie obrzydzeniem i lękiem. Wreszcie któregoś dnia w drzwiach kuchni, gdzie mieszkalam z Małgosią, stanął Kostek...

Ale o tym, co było potem, niech ci, Małgosiu, on sam opowie...



Magda bawiła się na dywanie koło biurka swym szmacianym hinduskim słoniem, Małgorzata siedziała w fotelu obok Kostka. Na stoliku resztki kawy, kieliszki z koniakiem. W kolorowym telewizorze — dziennik: dalsza poprawa zaopatrzenia sklepów, coraz powszechniejsze poparcie programu rządowego...

— Wyłączmy to, dobrze? — powiedziała i musnęła palcem sensor. — Nie dokończyłeś mi. Wzięliście drugi raz ślub?

— Nie było potrzeby. Ciągłe ważny był nasz ślub kościelny. Nam to wystarczyło.

— Kto cię zawiadomił, że ona tam jest? Ten Leszek?

— Sam wiedziałem. Byłem nawet raz na ich spektaklu, ale mnie nie zauważyła — zginałem w tłumie. Nie byłem wtedy przygotowany na spotkanie.

— Ciągłe nie rozumiem, jak mogła się zgodzić, żebyś do niej wrócił po tym, co zrobiłeś?

— Małgosiu, życie jest naprawdę bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje. Uwierz mi.

— Gdzie jest grób mojego ojca? — zapytała po chwili.

— Nie wiem. Nie wiem nawet, czy ona wiedziała...

Magda powyjmowała z półek książki, wytrząsała coś z nich, odrzucała na podłogę, potem zaczęła wywalać papiery z szuflad biurka. — Magda! Spokój! — krzyknęła na nią. — Masz to wszystko pozbierać!

— Zostaw, niech się bawi. Tu i tak jest bałagan. Zbieram się do zrobienia porządków i ciągle nie mogę się zabrać. Nie ma dla kogo...

— Co ty wyprawiasz? Nie jesteśmy u siebie w domu. — Zaczęła wkładać z powrotem książki na miejsce.

— Mama, ja się bawię w rewizję...

Kostek przyglądał się im obu w zamyśleniu. — Podobna jest do ciebie...

— Niestety.

— Zostaniecie na kolacji, prawda?

— Nie, musimy już iść.

— A może jednak? Znajomy wrócił z Moskwy, przywiózł mi trochę kawioru, mam dobre wino... Samemu tak nie smakuje.

— Niestety, Magda jest śpiąca.

— Połóż ją tutaj.

— Umie tylko zasypiać ze swoim misiem. Gdybym wiedziała, zabrałabym...

— Szkoda. Wpadnijcie w takim razie do mnie... Jak będziesz miała czas i ochotę, oczywiście.

— Dobrze, tato. Do widzenia.

Zamknął za nimi drzwi na trzy potężne zasuw i łańcuch. Wrócił do pokoju, zebrał na tacę kieliszki, filiżanki. Przechodząc przez przedpokój zatrzymał się. W smudze światła, na stoliku w pokoju Toni stała jego fotografia: uśmiechnięty, młody, ręce w kieszeniach jasnego płaszcza... I dedykacja: Dla Toni — Kostek. Z tacy zsunął się kieliszek i rozbił z trzaskiem.

Małgorzata ułożyła Magdę w łóżeczku. Dziecko trzymało przy piersi swego misia i hinduskiego słonia.

— Opowiedz mi bajkę, mama...

— Nie znam żadnej nowej. Wszystkie już ci opowiadałam.

— To opowiedz tę najładniejszą.

— Która jest dla ciebie najładniejsza?

— Każda.

Usiadła przy niej. — A więc posłuchaj... Pewnego razu, bardzo, bardzo dawno temu, tak dawno, że już nikt nie pamięta

kiedy, za siedmioma górami, za siedmioma lasami i za siedmioma rzekami, na wysokiej skale wznosił się ogromny zamek, a w nim mieszkała młoda, śliczna królewna...

Małgorzata przykłęła, otuliła ją kołderką, zgasiła światło, ale nie odchodziła. Patrzyła długo w spokojną twarz dziecka. — Boże... — szepnęła. — Proszę, nie rób tego...

**ACHÈVE D'IMPRIMER
LE 30 NOVEMBRE 1983
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e).**

Dépôt légal : 4^e trim. 1983.

